

Enerlich Katarzyna

Oplątani mazurami

Projekt okładki: Maciej Sadowski

Fotografia autorki na okładce: Marian Modzelewski

W posażnym kufrze babci Hildy leżały na równych stertach wykrochmalone obrusy, poszewki na poduszki, pierzyny oraz codzienne fartuchy. Były i rzeczy odświętne, i zwyczajne - położone jedna na drugiej, zasuszone jak liście. Te na dnie - całkiem zapomniane. W kufrze pachniało słodko mydłem i starym drewnem. Tak samo pachną wiekowe drewniane domy, z ukrytymi pod belkami wielkimi pajakami, których szelest słyszeć tylko w nocy. W ciągu dnia rejwach codzienności tłumi ciche odgłosy tych najmniejszych mieszkańców.

Babcia Hilda szanowała wszystko, czym przez lata obrastała. W podłużnym pudełku trzymała cynowe łyżki z pierwszym symbolem Mazur - smukłym kormoranem wyrzeźbionym na trzonku. Dostała je w prezencie od starych Holendrów, co mieszkali w małym domku nad jeziorem. Holendrzy dawno umarli, a ona wciąż żyła i przekładała te łyżki raz w roku, owijając jak niemowleta miękką ściereczką. Nigdy ich nie używała, bo przyzwyczała się do starych drewnianych łyżek. Były cieplejsze w dotyku i przede wszystkim lżejsze. To było ważne dla jej powykęcanych reumatyzmem palców.

Na ścianie w kuchni wisiał młynek do pieprzu i kawy, też od tamtych Holendrów. Metalowe mocowanie i mechanizm młynka z korbką były przytwierdzone na stałe do ściany, a ceramiczny pojemnik można było wysuwać. Na jego przedzie namalowany był niebieski niekształtny wiatrak.

Babcia Hilda lubiła ten młynekowego przyjemne chrobotanie i zapach tego, co właśnie mieliła. Pieprz miał aromat lekko ziemisty, na dodatek łaskotał w nos, a babcia Hilda lubiła kichać. Mówiła, że człowiek oczyszcza się wtedy z tego, co w nim złe. Gdy po pieprzu mieliła kawę, przecierała młynek ściereczką. Mimo to pierwsza porcja naparu miała lekki posmak pieprzu. Babcia Hilda lubiła te kulinarne eksperymenty i smakowała jej kawa o cierpkim aromacie.

Szanowała wszystko, co sama wypracowała. Plony lata przechowywała w spiżarni, peklowała mięso, suszyła, wędziła. Jednak z największą estymą traktowała płótno. Było jak katolicki Bóg - pod wieloma postaciami: serwet, prześcieradeł, obrusów, koszul czy bandaży. Ale zawsze było tym płótnem, którego utkanie wymagało tyle serca i pracy. Robiła to od wczesnej młodości. Surowy materiał parzyła ługiem, a potem kładła na ciepłą łąkę za domem. Rozpięte na palikach bieleło w słońcu i rosie, a im było bielsze, tym bardziej była dumna ze swojej pracy. Bywało, że we wsi pojawiali się złodzieje i kradli gotowe płótna z bielnika, więc czasem trzeba było pilnować całą noc. Wachtować, jak się wtedy mówiło.

Wczasach babci Hildy wszystko było inne. Ludzi oceniało się nie za słowa, ubiór czy sposób bycia. Najważniejsze były czyny, niektóre bardzo przyziemne. Ale ta przyziemność była istotą bytu. Smak kartoflanki czy pulchność niedzielnej kuchy1

1 Pruska nazwa ciasta były tak samo ważne, jak otworzenie w domu zmarłego okien, by ciepła jeszcze dusza opuściła go powoli i bez zbytniego popędzania. Ważne było też, ile koszul dla przyszłego męża uszyło się w panińskich latach oraz czy zrobiło się to równo i starannie. Z kobiety, której płótno miało splot jak przewrócone żerdzie, żartowano i kpiono. Babcia Hilda była zawsze dokładna - jej płótna były znane na cały Sensburg2. Sprzedawała je tam na jarmarkach, a potem wracała do domu z pieniędzmi schowanymi w węzełku z chusteczki. Po powrocie wkładała monety do kufra; z roku na rok robiło się ich coraz więcej.

Gdy babcia Hilda zestarzała się nagle dla niej samej, ludzie we wsi zaczęli mówić o zbliżającej się wojnie w obcym kraju. Nie słuchała tego gadania, bo tamten kraj był daleki; nie można było dojść tam na piechotę.

Nie miała już siły, by prząść na kołowrotku. Na jarmarki zabierał ją czasem stary Busch. Trzęsa się na jego furmance, podskakującej na każdym wyboju. Wyglądała wtedy jak bocian, z tą swoją małą głową na wąskiej długiej szyi. Busch pomagał jej zsiąść z furmanki i zostawiał w miasteczku. Szła przeważnie do lekarza, a potem do apteki „Pod Orłem” przy samym ratuszu. Marzyła, że ktoś wynajdzie wreszcie lekarstwo na starość. „Byleby to było jeszcze za mojego życia” - szeptała te słowa jak modlitwę.

Sierpień trzydziestego dziewiątego zniewolił jej ciało upałami. Nie wychodziła już z domu, czasem tylko siadała

2 Przedwojenna nazwa Mrągowa na drewnianym pogryzionym przez korniki progu. Gdy się zbyt długo zasiedziała, trudno było wstać, bo pozginane kości buntowały się. Z czasem zrezygnowała z przesiadywania na progu i położyła się do łóżka. Sąsiadka, dobra stara Ingrid, zachodziła czasem do niej, przynosiła jedzenie, zamiatała izbę i wynosiła nocnik. Rozmawiały wtedy aż do chłodniejszego przedwieczoru, gdy szara godzina kładła cienie na ogrodzie babci Hildy.

To Ingrid jako pierwsza przyszła wtedy do niej, by powiedzieć, że mężczyzn ze wsi zabierają na wojnę. Zabrali też jej wnuka; zegnała się z nim przy płocie, cała we łzach. Patrzyła za nim długo, jak małał za zakrętem i wyglądał jak śmieszny przecinek. Ingrid tak bardzo chciała opowiedzieć Hildzie, której wnuki były na innym kontynencie, o swoim pożegnaniu. Nie zdążyła. Babcia Hilda umarła w nocy. Nie zerwała już swojej dyni z ogrodu, wielkiej jak księżyc. Nie przewinęła cynowych łyżek. Nie założyła świeżego fartucha. Na gwoździu w sieni zostawiła ten stary, brudny, na którym leniwie drzemały muchy.

Wnukowie, którzy przybyli zza oceanu, zajrzeli tylko do kufra. Przetrzęsęli jego zawartość i nabałaganili. Poskładane latami obrusy i pościele rzucili potem niedbale - leżały tam teraz jak ptaki z rozłożonymi skrzydłami, sposobiące się do lotu. Zabrali tylko tamten węzełek z monetami zbieranymi przez babcię Hildę przez połowę życia. Dziwili się, że tak mało uzbierała. Pochowali zmarłą skromnie, w naprędcie skleconej drewnianej skrzynce. Nie otworzyli w jej domu okien i dusza babci Hildy została w nim na wieki. Przedmioty, które zostały po niej, przygarnęła niczym osieroczone psy dobra, stara Ingrid.

Czy to duch dawnych Mazur, czy nitki pajęczce tkane przez Czarodziejkę jezior na olszynowej łódeczce sprawiają, że ludzie zarażają się tą ziemią? Ciężka od legend i prawdziwych historii, nasycona oddechami tych, którzy żyli tu wcześniej, jest jednak zrozumiała dla wszystkich. Język tej ziemi jest prosty, bo brzmi błękitem jezior, ciszą słońca nad gęstym lasem, srogością burz i metalicznym zapachem ostrych zimowych poranków. IS[a starym pianinie

Na starym pianinie niewysoki muzyk wygrywał swoją muzyczną opowieść, jakby grał w tajemnicze kości. Druga toczyła się na białym ekranie; mali ludzie w szybszym niż za życia tempie przemierzali czas. Płynął przez to szybciej - w tym ciasnym przedwojennym kinie, w sercu Sensburga, niewielkiego miasteczka na Prusach Wschodnich.

Ludzie wykradali codzienności chwile spędzane przed ekranem. Zostawiali swoją pracę, niedogotowane mięso na ogniu, niewyznane przy Źródleku Miłości uczucia, niewysłaną widokówkę. Przychodzili tu, czując, że przekraczają granicę rzeczywistości, a papierowy bilet był ich paszportem.

Czasem zjawiała się tu również wdowa po sensburskim kupcu. Żyła samotnie w wielkim domu, przy którym przycupnęło drzewo. Z małego supelka gałązek, zasianego przez wiatr, wyrosło na wielki pień z silnymi konarami i wyglądało jak cyrkowy atleta w pasiastym stroju; takiego atletę wdowa widziała na rynku, gdy nie była jeszcze wdową, a małą dziewczynką. Teraz, gdy żałoba po kupcu nie pozwalała na lekkość życia, kino było najlepszą alternatywą. Patrząc na ekran, skutecznie popychała wskazówki tak dłużeńych się w samotności minut.

Czasem zastanawiała się, do którego kina pójdzie. Bo w miasteczku były dwa. Częściej wybierała ReformKino, należące do siwowłosego Pahrola, który miał tańsze bilety i często się uśmiechał. Wdowa przechodziła tylko przez żydowski rynek i już była na miejscu. W ReformKino filmy trwały krócej. Mówiło się o nich dumnie i mądrze - krótkometrażowe. Po seansie mogła iść jeszcze na spacer Promenadą, popatrzeć na mężczyzn na łódkach, którzy

nieruchomieli na wiele godzin, by nie płoszyć ryb. Byli nieczuli nawet na obecność kobiet przy brzegu, moczących zmęczone upałem łydki w chłodnej wodzie jeziora.

Ale kino Pahrola było ciasne, na plecach czuło się ludzkie od - \ dechy. Panująca w nim duchota przybierała z każdą minutą na sile, a ten niewysoki muzyk, z rozpędzonymi szczupłymi palcami na białoczarnej klawiaturze, wydawał się prawdziwym złodziejem powietrza, którego wdowie wciąż brakowało. Chodziła tu jeszcze w młodości, gdy nosiła lekkie sukienki i pracowała w eleganckiej restauracji przy rynku.

Wciąż miała w albumie widokówki, na których jest ów lokal i jego nowoczesne wnętrze. To właśnie w restauracji poznała męża i nagle jej codzienność zmieniła się. Małżeństwo, praca, sklepy otwierane w miasteczku, przesyconym wilgocią od jezior i zapachem ryb. To one dawały jej poczucie bezpieczeństwa i prestiż.

A potem powstało nowe kino. Należało do Gutzeita, który wyświetlał filmy tylko w środy, soboty i niedziele. W swojej nazwie miało słowo Sensburg. Kino było nowoczesne. Wewnątrz było jaśniej, bardziej elegancko. Siedzenia wygodniejsze niż te twarde krzesła rozstawiane przez Pahrola, który zazdrościł swojej konkurencji; do jego ReformKino nie przyciągał widzów nawet pianista, przywieziony specjalnie z Królewca. Siwowłosa Pahrol zamawiał coraz nowsze i tańsze filmy; nie kradł ludziom tyle czasu, co tamten Gutzeit swoimi długimi widowiskami, o których mówiło się, że są modne. Ze złością zerkał na tłumy przed nowym kinem; przystawał najczęściej od strony Gartenstrasse3, nieco z boku, by nikt go nie widział. Przestał się tak często uśmiechać.

Wdowa coraz częściej wybierała nowe kino bez muzyka. Przykro jej było patrzeć na starego Pahrola, ale ciekawość była silniejsza. Kiedy po jakimś czasie dowiedziała się, że stary nie wytrzymał konkurencji i wydzierżawił swoje kino rywalowi, pokiwała głową: „Czas najwyższy. Idzie nowe. Trzeba podążać z duchem czasu”.

Szczupły pianista przywieziony z Królewca stracił nagle pracę, bo Gutzeit nie chciał go zatrudniać. Odkupił od właściciela kina pianino. Dzięki temu mógł udzielać prywatnych lekcji; ludzie prowadzali do niego swoje dzieci i mówili o nim: to ten z kina. Dzieci kiwały głowami i myślały o nim jak o kinowym totemie, bo słowa „to ten z kina” nabrały z czasem płynności; stały się jednym wyrazem i brzmiały już jak „totem”. Zrosły się jak szare jezioro Czos z trawiastym brzegiem albo jak muzyk z Królewca z tym sennym miasteczkiem.

Wdowa nękana swoimi dolegliwościami zachorowała na dobre. Niemoc nie pozwalała na wstawanie z łóżka. Przychodziła do niej sąsiadka z rosółem. Kiedyś powiedziała, że gdy człowiek umiera, widzi swoje życie jak film w kinie, tylko puszczone od

3 Obecna ulica Roosevelta końca. Wdowa leżała teraz w łóżku i myślała, jak będzie w kadrze życia wyglądał ten koniec, od którego zacznie się jej film? Czy od spaceru Promenadą? Wizyty w kościele? A może od ostatniego u Pahrola filmu o niemieckich samochodach?

Któregoś dnia zobaczyła siebie leżącą na łóżku, jakby ktoś przymocował na suficie lustro. Wtedy dopiero zauważyła, że pościel jest brudna, a jej włosy zbite w tłuste pasma. Zobaczyła talerz na nocnej szafce, na którym przysechł makaron z rosółu. Trudno będzie teraz domyć te żółte wiórki.

Nie przejęła się jednak tym, bo przed jej oczami zaczął się właśnie jakiś spektakl. Było dokładnie tak, jak obiecała sąsiadka, tylko bez monotonnego terkotania maszyny i nieznośnych ludzkich oddechów na plecach. Zobaczyła siebie w ulubionej letniej sukience, idącą z młodym chłopakiem. A potem w szkolnej ławce i podczas spaceru z matką po Promenadzie. Karmienie kaczek okruszynami chleba. Pierwszy krzyk z własnych ust. I nagle wszystko zamilkło, a nieznaną tunel zabrał ją do nieba.

Gutzeit prowadził swoje kina aż do wojny. Przychodzili do nich zakochani w filmach ludzie, a przyciągała ich wygoda i miękkie siedzenia. Nowsze kino działało jeszcze po wojnie. Było bardzo eleganckie, z lożami i pochyłą podłogą. Polacy, którzy zjawili się tu wraz z nową granicą, najpierw nazwali je „Rajem” a potem „Mazurem”.

Pahrol zmarł zwyczajnie, na starość. Jego dawne kino spłonęło, podpalone przez Armię Czerwoną. Po wojnie powstał w tym miejscu zwykły budynek w kształcie prostokąta. Nikt bowiem jeszcze nie wierzył, że Polska tu zostanie, i nikt nie chciał budować ładnych domów. Jednak Polska przetrwała, przetrwał również budynek. Kiedyś był w nim nowoczesny pawilon „Kubuś”, a dziś jest sklep spożywczy. To dobre miejsce na taki sklep, przy zbiegu ulic prowadzących do centrum i targowiska. Zabiegani mieszkańcy często tu zachodzą. Kobiety po chleb, mężczyźni po piwo, a dzieci po lizaki.

Zakurzone latem uliczki Mrągowa milczą. Nie potrafią opowiadać historii. Może po prostu nie znają ludzkiego języka? Czasem ktoś odkryje z warstwy kurzu tajemniczą płaskorzeźbę, malowidło, szyld pod warstwą tynku, poźółkłą fotografię. Te odkrycia są jak luźne słowa, rzucane w dziecięcych łamigłówkach. Ocalić to i zebrać w dawną całość - niemożliwe... cWidok z austerii Arno Surminkiemu

]Vtiał stary Frank Samulski swoją austerię. Ludzie mówili na nią - karczma zajezdna albo gościniec. On jednak mówił po staremu. Pracował w niej, bywało, do świtu. Czasem pomagała mu żona Emma. Powtarzała mu wciąż, że nie lubi siedzieć z pijakami, ale i tak

codziennie przecierała stoły i zydle, poprawiała pościel w alkierzu i sprawdzała, czy woda do mycia w dzbanie jest świeża.

Dawniej, gdy stary Samulski nie był jeszcze taki stary, do jego austerii zajeżdżali co rusz podróżni. Mogli tu zostawić konie, a Bruderek, zwany we wsi złotą rączką, naprawiał za drobną opłatą uszkodzone w podróży wozy i bryczki.

- Karczma to serce wsi - mówili goście, stukając się kufkami z piwem.

- Austeria. Za dawnych czasów mówiło się „austeria” i niech tak zostanie - poprawiał cierpliwie Samulski.

Wódka podawana w karczmie doprawiana była anyżem, bo miała gorzki i nieprzyjemny smak.

- Coś w tej gorzelni robią nie tak - narzekali czasem goście. Chętnie jednak wlewali w siebie ten przezroczysty płyn, zapijali piwem, odmawiając choćby plastra słoniny, a przecież wiadomo, że lepiej się pije pod tłuste.

Emma wracała do izby mieszkalnej nocą, gdy goście karczmy położyli się już na glinianych podłogach przykrytych sianem albo zasnęli na ławach. Na bogatszych, tych z dalekich stron, czekała w alkierzu świeża pościel i poranna kawa, zaparzana w ceramicznej kawiarence przywiezionej z Niemiec.

W sieni karczmy wisiał sznur. Ludzie we wsi mówili, że w każdej szanującej się karczmie sznur powinien być! Na dodatek taki, na którym ktoś się powiesił. Wisielec przyniesie karczmie szczęście, ludzie nie będą jej omijać, a pieniądze popłyną wartko do kieszeni karczmarza. Samulskiemu zależało na pieniądzach, więc jak tylko we wsi powiesił się z samotności i dziwnej choroby umysłu ten Zambrowski spod lasu, Frank zaraz pobiegł tam i sznur zabrał, zanim go ludzie spalili.

Powiesił go zaraz w sieni na gwoździu. Wisiał tam samotny jak... wisielec.

Karczma należała do dziedzica. Samulski miał ją w arendzie i musiał co roku rozliczać się z trunków, które brał z gorzelni. Za resztę płacił ryczałtem. Mimo sznura w sieni, gości ubywało. Dobrze, że Emma tkala płótna, które sprzedawała w aptecce w Sensburgu.

Czyżby wszyscy się zmówili i przestali nagle podróżować?myślał Samulski. A przecież podróże są naturalnym odruchem, człowiek wciąż chce się przemieszczać, oglądać coś nowego. Dlaczego właśnie teraz ludzie zakorzenili się w swoich domach, wsiach, ojczyznach? Jakby nagle wędrownie ptaki zamieniły się w przywiązane do ziemi porosty.

Samulski patrzył przez okno, wspominając dobre czasy, kiedy to jego austeria rozbrzmiewała głosami i szczękiem kufli. Widok z okna miał piękny - rozległe pola zakończone krawędzią lasu. Każdej wiosny żurawie odprawiały tu misterium godów.

Zima czterdziestego piątego dokuczyła wszystkim. Do austerii już prawie nikt nie zaglądał, czasem tylko przyjechał jakiś zbłąkany podróżny, przespał się na sianie i wyjechał o świcie. Ludzie we wsi mówili, że czasy się zmieniają, a Bruderek nawet dodawał:

- Koniec świata idzie, ot co.

Którejś nocy Samulski miał sen. Przyszedł do niego miłosierny Bóg i podał mu wisielcowy sznur.

- Uciekaj z nim do lasu - powiedział.

Samulski zbudził się zaraz, przetarł oczy i dotknął Emmę.

- Sen miałem. Musimy uciekać. Bóg powiedział, żeby do lasu.

- Gdzie ty będziesz tam szedł, toć ciemno jeszcze?! - wysapała Emma spod pierzyny.

Nie dawał mu ten sen spokoju. Jak tylko świt rozjaśnił śnieżne pola, zabrał Samulski sznur z sieni i poszedł. Las przywitał go chmurny i cichy. Frank szedł wolno, rozgarniając krzaki i potykając się o nie co chwila, aż wreszcie przewrócił się całkiem, zaczepiając sznurem o jakiś konar. Leżał chwilę nieruchomo, sprawdzając, czy sobie niczego nie złamał, po czym podniósł się z ziemi z głośnym sapaniem. I wtedy w oddali zobaczył leśną chatkę, opuszczoną przez ludzi i Boga.

Dotknął klamki, drzwi otworzyły się i zaprosiły do izby. Zaraz przy niej była czarna kuchnia, za nią komora. To wszystko.

„To chyba tu Bóg kazał mi się ukryć” - pomyślał Samulski.

I wrócił do wsi. Na drodze wyczuł jakiś niepokój. Zauważył, że z komina jego austerii nie leci dym.

- Co się stało? - spytał żonę, czekającą na progu.

- Ludzie ze wsi uciekają! Koniec świata idzie! - wykrzyknęła.

- To i my uciekać musimy. Bóg we śnie dobrze mi powiedział.

Spakowali tyle, co zdołali unieść, zamknęli karczmę i poszli w las, choć ludzie szli w odwrotnym kierunku.

- Nigdzie po świecie błąkać się nie będziemy. Za stary jestem, żeby się po próżnicy włóczyć. Przeżyliśmy tyle, to i ten koniec świata też przeżyjemy - mówił Samulski, a Emma tylko mu przytakiwała.

I zamieszkali w leśnym domu. Frank codziennie przynosił drewno, a Emma rozpałała ogień i gotowała kapustę lub kaszę z zapasów, które zabrali ze sobą.

Zima trwała i trwała, śnieg topniał i zasypywał ich dom od nowa, Samulski codziennie wyglądał przez małe okienko i wspominał piękny widok z jego austerii.

- Może już wrócimy? - pytała Emma, ale on kręcił wciąż głową. Bóg nie przyśnił mu się przecież po raz drugi, nie powiedział: wracaj, stary Franku, do swojego domu.

- Jeszcze nie czas - uspokajał żonę.

Któregoś dnia, zniecierpliwiony brakiem przesłania od Boga, poszedł do wsi. Zobaczył popalone domy. Po ich austerii zostały tylko fundamenty. Nie było już tamtego widoku z okna ani ceramicznej kawiarki. Spłonęła pościel dla gości i zydle, i stoły.

Z pękniętym sercem wrócił stary Samulski do lasu. Żonie nie powiedział o tym, co zobaczył.

Gdy nastała wiosna, Emma zaniemogła. Najpierw skarżyła się na silny ból głowy, a któregoś dnia przewróciła się w izbie i już nie wstała. Frank zapłakał nad nią, ale wiedział, że na nic jego łzy. Trzeba żonę pochować.

Dobrze, że ziemia już odmarzła. Samulski wykopał głęboki dół i oddał Emmę ziemi. Po bożemu. Postawił krzyż z brzozowych pniaków. Pomodlił się potem nad mogiłą, jak mu jego pruska dusza nakazywała.

Został na tym dziwnym świecie sam jak palec. Jeszcze raz wrócił do wsi, popatrzył na nią zza krzaków i zobaczył obcych ludzi. U wdowca Buscha panował teraz dziecięcy gwar, a na progu domu Bruderków siedziała samotna kobieta. Jakby ludzie na świecie zamienili się miejscami. Tylko gdzie jest miejsce dla niego, starego Samulskiego, karczmarza ze wsi?

Wrócił do chatki pod lasem. Wspomnił widok z okna jego austerii. Rozległe pola zakończone krawędzią lasu. Usłyszał nagle ciche rzenie koni i gwar rozmów.

Nie ma już tamtej wsi. Nie ma krawędzi lasu. Nie ma Emmy, co zbierała len i tkala z niego płótno. Co zatem z tego świata zostało? Chyba tylko on, stary Frank. I ten sznur. Znak od Boga.

Zaplątał powróż o belkę pod sufitem. Wszedł na stary zydel i nałożył pętlę na szyję. Pomyślał jeszcze raz o świecie, którego już nie ma. O tym, że koło świata przekreśliło się, a on chyba nie zdążył za nim, bo nigdzie nie pasował. Kopnął zydel prawą nogą.

Kto by pomyślał, że od tego kopnięcia zależeć będzie całe jego życie?

Od prawej nogi rozpoczął więc swoją nową, nieziemską podróż do Emmy...

Jak śnieg z deszczem

Bruno Klein nie interesował się swoimi dziećmi, które miał ze swoją żoną Erną. Urodziło się im pięcioro. Czterech synów i córka, Waltraut. Najmłodsza i najmniej podobna do ojca.

Kiedy synowie chodzili razem z nim w pole, ona zostawała w domu z matką.

- Gdyby to był syn, toby przynajmniej do pracy poszedł, a tak to darmożjad rośnie - mruzczał czasem Bruno pod wąsem.

Córka kulila ramiona, żeby stać się jeszcze mniejszą. Najchętniej całkiem by zniknęła. Matka widziała to i dawała jej wtedy szturchańca:

- Podaj ojcu łyżkę!

Albo:

- Idź po wodę do studni.

Chciała chyba pokazać, że dziewczynka też może być pożyteczna.

- Czekaj, jeszcze urośnie. W kuchni mnie wyręczy... - łagodziała złe humory Erna.

- A co tu jest do roboty?! - prychał Bruno lekceważąco.

Erna wzdychała. Żeby wiedział, ile trzeba dziennie zrobić kroków, aby zamieść, umyć podłogi, ugotować posiłek, uprać bieliznę, nakarmić kury, umyć okna, wypielić ogród. Żeby wiedział, ile razy trzeba się schylić i wyprostować, a kręgosłup już nie ten, co dawniej. A przecież pięć razy musiał dźwigać nie tylko jej ciało, ale i rosnące pod sercem dziecko.

Bolała Ernę szorstkość i hardość Bruna. I to, że dzieci traktował jak parobków. Wyganiał je z łóżek bladym świtem, pędził do roboty, nawet gdy miały katar.

Gdy się pytało Bruna, kiedy urodziła się Waltraut, odpowiadał:

- Jak we wsi padał śnieg z deszczem.

Ernie robiło się wtedy przykro, że zapomniał, bo ona dokładnie wiedziała, kiedy rodziły się jej dzieci i jak brzmiał ich pierwszy krzyk.

I tak kapały dni i noce, dzielone na codzienną pracę, odpoczynek, sen, a czasem i na myśli, rodzące się pod mazurskim niebem. Dzieci rosły, a rodzice z coraz większą nadzieją patrzyli na nie.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Gdy dni były już krótkie, a noce długie, ludzie we wsi przygotowywali się do tego wielkiego święta. Jeździli na targ do Sensburga, by kupić to, czego brakowało.

Na kilka dni przez świętami wszyscy czekali na przyjście Białego Jeźdźca. W Polsce ludzie mieli turonia, który kolędował po domach, a w tej niewielkiej wsi na Prusach Wschodnich to właśnie Biały Jeździec i jego świta wprowadzali mieszkańców w klimat świąt.

Waltraut wiedziała, że zawsze przebiera się za niego najsilniejszy mężczyzna we wsi. Rok temu był to Ernest Skalski, ale on wyjechał do Francji. Kto zostaniejeźdźcem w tym roku? Och, to ją bardzo ciekawiło! Miała już siedemnaście lat i od pewnego czasu zaczęła zwracać uwagę na chłopców ze wsi.

Ogromną kuchnię Kleinów trzeba było przygotować na tę niecodzienną wizytę. Pomogli sąsiedzi. Wszyscy chcieli zobaczyć to przedświąteczne widowisko.

Już słyhać kroki w sieni! Już ktoś chwyta za klamkę! Są! Pierwszy wszedł przykryty prześcieradłami mężczyzna z przymocowaną z przodu drewnianą głową konia. Po bokach miał dwa wiklinowe kosze przykryte materiałem, a z tyłu koński ogon upleciony ze sznurka. Tak właśnie wyglądał Białyjeździec. Za nim szło dwóch wiejskich muzykantów: Arno i Karol. Dalej żebraczka z koszem, tuląca w ramionach lalkę jak prawdziwe dziecko. Pochód zamykali młodszy chłopcy, przebrani za bociana i niedźwiedzia.

Po otwarciu drzwi do izby wszczęli wielki rwetes. Krzyczeli i tupali, a muzykanci zagrali skoczną melodię.

Biały jeździec majestatycznie przeszedł przez izbę. Waltraut bezskutecznie próbowała rozpoznać, kto kryje się pod białym prześcieradłem.

Gość zaprosił wszystkich do kolędy. Potem sięgnął do wielkiego kosza ze słodyczami. Na ten moment dzieci czekały najbardziej. Podbiegły do niego, przekrzykując się wzajemnie i opowiadając, jakie były grzeczne. Podeszła i Waltraut, choć już nie była dzieckiem. Stała z boku i patrzyła na dłoń Białego Jeźdźca, która podawała jej marcepan i jabłko.

Dzieci chwytaly łakocie, piszczaly i śmiały się, a Jeździec udawał, że niektóre z nich karze kijem. Potem do gospodyni podeszła żebraczka z koszem. Tradycją było, by wrzucić do niego chleb, mięso, ciasto, a nawet trochę pieniędzy. Waltraut wciąż stała z boku, z marcepanem w dłoni. Patrzyła na przybysza. On na nią. I nagle spod prześcieradła zobaczyła głęboki błękit jego oczu. Już wiedziała! Tylko Hans Neumann ma takie oczy!

Po wspólnej zabawie nadszedł czas biesiady. Mogli w niej brać udział tylko dorośli. Mężczyźni wnieśli do izby stół. Biały Jeździec musiał przeskoczyć przez niego, co wcale nie było łatwe. Waltraut patrzyła na to zachwycona i już wiedziała: zakochała się w Hansie!

Gdy ojciec wyciągnął butelkę niedźwiedziówki, tradycyjnego wysokoprocentowego likieru na miodzie i spirytusie, dziewczyna nagle zapagnęła być dorosła. Patrzyła, jak ukryty pod prześcieradłem Hans pije alkohol, jak wylewa ostatnią kroplę i podaje kieliszek dalej.

A potem wszyscy składali sobie życzenia i wtedy właśnie pierwszy raz Waltraut poczuła na swojej dłoni ciepłe palce Hansa. Pomyślała marzenie: Chcę, by mój ojciec mnie wreszcie pokochał. A zaraz potem: Chcę zostać żoną Hansa.

Podobno marzenie wypowiedziane w obecności Białego Jeźdźca spełnia się.

Po dwóch latach odbył się ślub. Ojciec Waltraut cieszył się:

- Niech już idzie z domu.

A matka płakała:

- Jak jej teraz będzie na świecie?

Starsi synowie też ożenili się, z rodzicami został tylko najmłodszy.

A potem wybuchła wojna, o której ludzie dużo mówili, ale nikt jej nie widział. Dopiero jak mężczyźni ze wsi musieli iść do wojska, wszyscy przekonali się, że to nie żarty.

Kleinowie też pożegnali swoich synów. Erna wypłakiwała za nimi oczy, a Bruno zamknął się w sobie, jakby w myślach szukał zrozumienia dla wyroków losu.

Ten jednak okazał się dla nich łaskawy. Wrócili wszyscy, cali i zdrowi, z nadzieją na to, że wszystko się jakoś ułoży.

Najazdy Rosjan siały grozę. Cała rodzina ukryła się u kuzynów w Tolkmicku. Gdy czasy się uspokoiły, Kleinowie wrócili jako jedni z nielicznych do swojej wsi.

- To nasze miejsce i nasz dom - tłumaczył Bruno Klein. Posiwał i podupadł na zdrowiu, a jednak miał jeszcze dość siły, by budować nowe życie, wśród mówiących z dziwnym zaśpiewem nowych sąsiadów.

Któregoś dnia Bruno przewrócił się. Stracił przytomność. Ledwo go Erna dowlokła do łóżka. Zwołała wszystkie dzieci.

- Ojciec zaniemógł. Nie mówi, nie chodzi. Nie wiem, czy żył będzie.

Stary Klein przeleżał pół roku. Ruchem dłoni pokazywał, że chce, by go poprawić lub podać wodę. Któregoś dnia Erna znów wezwała do siebie wszystkie dzieci.

- Nie mam siły się nim dłużej opiekować. To nie na moje lata. Mój kręgosłup nie daje rady. Musimy coś postanowić.

- Oddajmy ojca do jakiegoś zakładu - odezwał się pierworodny, którego Bruno kiedyś kochał najbardziej.

Kolejni synowie byli podobnego zdania.

- Nic już z ojca nie będzie. Trzeba do zakładu. To ciężar dla nas wszystkich.

Waltraut stała z boku i patrzyła, jak twarz ojca kurczy się, a z kącików jego oczu płyną łzy.

- Nie dam go do zakładu. Zabiorę ojca do siebie - powiedziała nagle stanowczo, choć pod sercem nosiła już trzecie dziecko.

I wtedy stary Klein pierwszy raz spojrział na nią z miłością.

Pożył jeszcze osiem miesięcy. Waltraut codziennie myła go, karmiła. Rozmawiała z nim jak z lalką, której nigdy nie miała, bo ojciec nie miał pieniędzy na takie głupoty. W jego oczach widziała wreszcie miłość, której nie doświadczyła w dzieciństwie.

A kiedy urodziło się trzecie dziecko, syn, nazwała go Bruno. Po dziadku.

Bruno Klein zmarł w czerwcową ciepłą i krótką noc. Waltraut pochowała go na starym cmentarzu za wsią. Nie płakała po nim, czuła tylko, że wypełniła w swoim życiu ważne zadanie. Oddała ojca ziemi i mogła spokojnie wrócić do swojego domu.

A potem, gdy ktoś pytał ją, którego dnia odszedł jej ojciec, odpowiadała:

- Kiedy ludzie ze wsi zwozili siano z pól...

Makowa ^Panienka

Kiedy na Dajnie zaczynał pękać lód, najmłodszy mieszkańcy okolicznych domów biegli w kierunku doliny i rozpoczynali coroczną zabawę - skakanie po białych taflach.

Ile było przy tym krzyków i pisków! Najgłośniejsze były dziewczynki. Chłopcy dziwili się nawet, skąd w nich tyle hałasu - przecież są mniejsze i drobniejsze. Wtedy jeszcze dzieci były szczupłe, bo żyły w ciągłym ruchu, a nadwaga była czymś wstydlivym.

Anna stawiała w oknie i patrzyła na ten dziecięcy gwar. Samotna i milcząca, wołała własne towarzystwo lub... książek, czytanych może zbyt często.

- Nie czytaj tyle, bo oszalejesz. Idź do dzieci, nad rzekę. U nas we wsi jedna taka wciąż czytała i wreszcie wylądowała w domu wariatów. „Głupia Franka” - mówili na nią. Zobaczysz, z tobą będzie to samo! - Groziła palcem babcia, która przeżyła dwie wojny, bo urodziła się w 1899 roku. Widziała zatem niejedno. Mówiła biegle po niemiecku, bo uważała, że trzeba znać język wroga. Czasem jednak stawiała w jego obronie. - Niemiec to jeszcze porządny był. Ale jak Ruski przyszedł, to dopiero... - wspominała, kiwając się na kuchennym taborecie.

Katarzyna Enerlich

Anna ma tyle lat co Makowa Panienka. Czesi wymyślili tę bajkę w 1972 roku, choć na niektórych czołówkach widnieje data z poprzedniego. Można więc mniemać, że Makowa Panienka jest Strzelcem, Koziorożcem albo Wodnikiem. Anna wolałaby to trzecie. Sama jest Wodnikiem i lubi żyć ze świadomością podobieństwa, nie różnic.

Na ich ulicy wciąż panował rejwach. W małych mazurskich domkach mieszkało dużo dzieci. Kiedy były wakacje, wystarczyło wyjść na drogę, a już na gankach pojawiały się małe postacie stęsknione zabawy. Anna nie miała rodzeństwa i chyba dlatego wołała samotność. A tymczasem w jej domu wciąż byli jacyś goście. Znajomi rodziców grali w przedwojennego skata lub całkiem współczesnego pokera na zapałki, a mama z babcią zawsze coś pichciły. Na stół trafiały zwyczajne potrawy, niektóre z nich wschodniopruskie, bo mama pochodziła stąd, z rodziny mazurskiej. Babcia, czyli jej teściowa, na początku trochę krzywiła się na zupę mączną z ziemniakami, mówiąc, że u niej na Kurpiach tak się nie jadało, ale potem szybko przekonała się, że taka zupa jest najlepsza na mrozy, a smażona słonina lub boczek z

gotowanymi ziemniakami i prostym sosem na zasmażce wzmacniają na cały dzień. Polubiła też ziemniaki w mundurkach ze skwarkami lub śledziem.

To, co zostało, trafiało do dużego wiadra, na którego zawartość mówiono „kwaśne zlewki”. Tymi kwaśnymi zlewkami karmiono prosiaka, który chrumkał w chlewiku za domem. Jednak wraz z nastaniem nowszych czasów chlewik zaczął przeszkadzać sąsiadom. Zrobili się nowocześni.

- To nie wiocha, tylko miasto! Trzeba z tym skończyć! - Perorowali zawzięcie, aż rodzicom Anny znudziło się ich słuchanie. Zlikwidowali więc przydomową hodowlę, chlewik przerabiając na składzik.

Babcia przywiozła ze sobą zegar z kukułką. Powiesiła go na ścianie, choć wszyscy jej mówili, że są już lepsze zegary. Nowocześniejsze.

- To mój, posażny. Musi mi czas odmierzać do samego końca. - Broniła swego.

Na zegarowym łańcuchu wisiały dwa obciążniki w kształcie szyszek i kiedy jeden z nich dotarł na samą górę, trzeba było go ostrożnie ściągnąć na dół. Czasem babcia zapomniała pociągnąć obciążnik. Zegar zatrzymywał się wtedy. Babcia wołała do Anny:

- Która to godzina?!

Anna miała swój zegarek od pierwszej komunii. Był już po naprawie - kiedyś zerwała się w nim sprężyna. Potem już chodził bez zarzutu.

- Piętnaście po trzeciej - odpowiadała na przykład.

- Och, to zaraz matka wraca. Sprawdź, czy masz porządek w pokoju.

Mama przyjeżdżała z pracy autobusem o wpół do czwartej. Babcia podawała jej obiad i szła do swojego pokoju odmawiać różaniec. Czasem przychodziła do niej sąsiadka, pani Misekowska, która hodowała dziesiątki aloesów. Podobnie jak babcia, pochodziła z Kurpi i rodzina wzięła ją do siebie, do miasta. Miały więc o czym rozmawiać. Najczęściej o gospodarce, którą zostawiły swoim dzieciom.

Anna dawno wyrosła z dobronocek. Miała już trzynaście lat. Mama mówiła do niej:

- Załóż tę czerwoną sukienkę. Wyglądasz w niej jak Makowa Panienka.

I Anna zakładała sukienkę, zastanawiając się przed lustrem, czy naprawdę ładnie jej w tym kolorze.

W szkole czasem ktoś powiedział:

- Masz taką komunistyczną sukienkę.

A kiedy ubierała żółtą, słyszała:

- Żółte - trefne!

Więc przestała chodzić w sukienkach. Na zwykłe dzinsy i brązowy sweter nikt nic nie mówił. Miała spokój.

Latem było najlepiej. Tak pod koniec czerwca. Lipa upijała jak wino. Matka rozkładała czasem lipowe kwiaty na szorstkim płótnie, suszyła, pakowała do worków i wieszala na strychu. Wystarczyło lekkie przeziębienie, a już lipa zalana wrzaskiem pojawiała się na drewnianym stole. Albo syrop z czarnego bzu, rosnącego w rogu ogrodu. Albo sok z aronii. Wtedy jeszcze ludzie żyli w zgodzie z naturą, nie kupowali gotowych preparatów i wierzyli, że przyroda jest najlepszym lekarstwem.

Babcia w butelce po wódce trzymała pijawki.

- Aniu, może mi przystawisz? - pytała czasem, gdy rozboleła ją głowa od nadciśnienia.

I Ania podawała jej wijącą się leniwie czarną glistę. Początkowo brała je z obrzydzeniem, szybko jednak przekonała się, że pijawki są miłe w dotyku, choć trochę śliskie. Trochę jak żaby.

Lubiła patrzeć, gdy spokojnie wgrzyzały się w skórę na głowie. Wisiały potem smętnie między rzadkimi siwymi włosami, a babcia czekała bez ruchu, aż się nasycą jej krwią. Potem szła do łazienki, brała je w dwa palce i wyciskała z nich krew prosto do muszli klozetowej.

- Pościeraj, bo nachlapałam - mówiła do Anny, wrzucając pijawki do butelki.

- Moja Makowa Panienko... - Matka pogłaskała po włosach Annę, która właśnie szła na pierwszą dyskotekę do Orbity w domu kultury.

Na razie nie mówiła tego mamie, ale była już trochę zakochana. W Marku. Miał błękitne oczy jak kawałki nieba. Specjalnie dla niego założyła tę czerwoną bluzkę. Bo przecież ładnie jej było w czerwonym.

Gdy usłyszała pierwsze słowa piosenki Potęga miłości Jennifer Rush, wstała i poprosiła Marka do tańca. Wierzyła, że to, co czuje, będzie trwało zawsze. Że na tym właśnie polega potęga miłości.

Trzy miesiące później swoją czerwoną bluzkę założyła już dla kogoś innego.

Któregoś dnia wróciła ze szkoły. Dom był otwarty, a w kuchni krzątała się pani Misekowska.

- Dobrze, że już jesteś! - krzyknęła na powitanie. Anna spojrzała zdziwiona.

- Coś się stało?

- Babcia zasłabła. Przewróciła się w ogrodzie. Zatargałam ją z sąsiadem Boltzem do pokoju. Nie wiem, co robić.

Babcia leżała w łóżku. Miała zamknięte oczy i ciężki oddech.

- Dzwoniła pani na pogotowie? - zapytała Anna.

- No nie, nie wiedziałam, może to grypa jakaś czy co?

Tamtego dnia babcia miała wylew krwi do mózgu. Nie zdążyła przystawić pijawek.

Umarła dwa miesiące później, zabierając ze sobą masę wspomnień z obu wojen, a zostawiając zegar posażny, który zatrzymał się na osiemnastej piętnaście, i drewnianą chałupę na wsi kurpiowskiej, którą jej syn zaraz po pogrzebie rozebrał i sprzedał.

Anna postanowiła założyć na jej pogrzeb czerwoną bluzkę. Miała bowiem nieznośne wrażenie, że jej babcia również lubiła ten kolor. W szafie znalazła przygotowane jeszcze za życia ubranie do trumny, zawinięte w białe prześcieradło. Czerwona bluzka, czarna spódnica. I czerwona chustka na głowę.

- Mamo, babcia wygląda w trumnie jak Makowa Panienska... - szepnęła Anna do zapłakanej matki.

Ta spojrzała z wyrzutem.

- Co ty gadasz? W takiej chwili?!

Myślę jednak, że to już nie miało większego znaczenia. Przynajmniej dla zmarłej.

Ach, zapomniałam! Po babci została jeszcze butelka z pijawkami. Anna wypuściła je do rzeki Dajny zaraz po pogrzebie.

To było ostatnie pożegnanie z dawnym światem. Została tylko współczesność, stymulowana coraz nowszymi wynalazkami. Odtwarzacz CD, telefon komórkowy, Internet... Dziś babcia Anny pewnie zagubiłaby się w tym zwariowanym świecie. Może to lepiej, że umarła?

Kolor czerwony przestał być komunistyczny. Anna mogła już bezkarnie ubierać się w czerwone bluzki i sukienki. Czasem spotykam ją na mieście. Wygląda naprawdę jak Makowa Panienska.

Einsidelei

Park zaścielił się kobiercem złotych liści. Natalia szła wolno alejką, minęła wieżę Bismarcka i zeszła w dół wzgórzem, aż do przedwojennego neogotyckiego budynku z czerwonej cegły. Wiedziała, że kiedyś był tu internatjej matka mieszkała tutaj, gdy była młodsza niż ona w tej chwili i uczyła się w Studium Wychowania Przedszkolnego. Często wspominała tamte lata, lekcje muzyki w sali numer dziewięć i dyrektora - filozofa, na którego patrzyła z zachwytem dla jego mądrego zamyślenia.

- Tych lat nie odda nikt... - nuciła za Ireną Santor, zaszczipiając swojej córce pierwiastek sentymentalizmu.

Natalia słuchała jej wspomnień, smucąc się, że były jedynymi, do których matka wracała. O innych chwilach ze swojego życia nie lubiła mówić, a zwłaszcza dotyczących ojca Natalii, Rajmunda, którego twarz córka kojarzyła bardziej ze zdjęć niż spotkań.

Liście szeptały jesienią. Natalia rozgarniała je wolno; robiła to jeszcze w dzieciństwie, które minęło tak szybko, prawie trzydzieści lat temu, a jednak do dziś miało barwę i zapach kasztanów znajdujących w parku.

Zadzwonił telefon. Matka.

- Natalia! Twój ojciec podobno miał zawał. Leży w szpitalu. Jeśli chcesz, odwiedź go.

Ojciec mieszkał dwanaście kilometrów za Mrągowem, w Sorkwicach. Odziedziczył stary dom po swoich rodzicach, którzy byli Mazurami. Rajmund Wessollek... Mimo nazwiska - raczej ponury. Rozstał się z matką wiele lat temu, Natalia miała wtedy pięć lat. Niewiele rozumiała z tego zamieszania, po którym ojciec nagle zniknął z ich mieszkania. Obwiniała go o to, że zostały same, i w tym poczuciu żyła do dziś. Mimo że była już dorosłą kobietą, nie miała chwili refleksji nad tym, co się stało - po prostu ojciec był zły, matka dobra. Ot, i wszystko.

- Nie wiem, czy tego potrzebuję...

- Zawsze to twój ojciec.

- Ja wiem, ale...

- Natalia, uważam, że powinnaś go odwiedzić. Co będzie, jeśli z tego nie wyjdzie?

- Dobrze, pojedę.

Schowała telefon do torebki. Obiecała matce, ale nie zamierzała dotrzymać słowa...

Szła dalej parkiem, szeleszcząc. Liście przelatowały przez pantofle, brudząc je szarym pyłem.

Schodziła właśnie ulicą Spacerową do miasta, gdy zauważyła, że przy przejściu dla pieszych stoi starsza kobieta. Natalia nie wiedziała, skąd nagle pojawiły się te przecucia. Widok rozpędzonego auta uderzającego wprost w tę kobietę nie zdziwił jej, przeczuła to sekundę wcześniej.

Natalia pierwsza podbiegła do leżącej na pasach kobiety, która jęczała coś niewyraźnie.

- Zaraz zadzwonię po karetkę... - powiedziała do niej, wybierając numer.

Pogotowie przyjechało po dziesięciu minutach. Leżąc już na noszach, nagle dotknęła dłoni Natalii i wyszeptała z trudem po niemiecku:

- Dziękuję bardzo za pomoc...

- Pani jest Niemką? - spytała Natalia. Znała ten język, była pilotką wycieczek.

Kobieta skinęła głową.

- Niech pani jedzie z nami, będzie pani tłumaczem - zakomenderował lekarz, łamiąc przepisy, zabraniające przewożenia w karetce kogokolwiek poza pacjentami.

Natalia wsiadła do środka. Trzymała starszą panią za rękę i pocieszała, że wszystko będzie dobrze. Wciąż miała w oczach przestraszonego widokiem policjantów kierowcę - młodego chłopaka, który ogłuszony muzyką nie zauważył kobiety na przejściu.

Badania, prześwietlenia... Natalia uczestniczyła w tym wszystkim, połączona dziwnym przypadkiem z Niemką. Dopiero po tych czynnościach pracownica pogotowia zawołała Natalię.

- Muszę porozmawiać z tą panią, zapytać o dowód ubezpieczenia. Pomoże mi pani? Proszę przetłumaczyć pierwsze pytanie: jak się pani nazywa?

Natalia przetłumaczyła je bez problemu.

Kobieta otworzyła oczy i z trudem wyszeptała:

- Helga Wessollek.

Natalia patrzyła przez chwilę z niedowierzaniem i zapytała powtórnie:

- jak?

- Helga Wessollek...

- Mamy to samo nazwisko... - wyjąkała Natalia.

- Czy mogłaby pani kontynuować? Adres... - przerwała pracownica pogotowia, notując dane w wielkim kajecie, rozłożonym na biurku.

Dopiero po trwającej czterdzieści minut wymianie informacji niezbędnych do założenia karty szpitalnej Natalia mogła powrócić do chorej.

- Pani Helgo, mamy to samo nazwisko... - powtórzyła, dotykając lekko ramienia kobiety.

- Możliwe, bo ja jestem stąd, z Sensburga... Urodziłam się tu, moi rodzice byli stąd. Przyjechałam... odwiedzić dawną ojczyznę...

- Jak nazywali się pani rodzice?

- Helmut i Ewa.

Natalia pamiętała, że jej babka miała na imię Ewa. Ojciec chciał ją tak nazwać, ale matka się nie zgodziła.

- Nie chciałam, żebyś była Ewa! Przecież jej prawie nie znałam, jak zresztą całej jego rodziny! - wyjaśniała swoją decyzję matka.

- Czy mówi pani coś imię Rajmund? - Natalia chciała dociec, skąd wzięła się ta dziwna zbieżność.

- Miałam kiedyś brata o tym imieniu. Jakaś ciotka wzięła go na wychowanie, gdy my wyjeżdżaliśmy do Niemiec. Nie wiem, dlaczego tak się stało.

- Ależ... To niemożliwe?!

- To możliwe... tak było. Nigdy go więcej nie widziałam.

- Pani Helgo, pani zatem... może być moją ciotką... - wyszeptała Natalia, z trudem opanowując wzruszenie.

- Jak to możliwe? - zadała pytanie Helga i... straciła przytomność.

Natalia wezwała pielęgniarkę i wyszła na korytarz. Chłodziła czoło o okno.

- Jeśli będę potrzebna, proszę mnie zawołać.

Patrzyła na podającą tlen pielęgniarkę. Niemka odzyskała przytomność, rozejrzała się po sali.

- To chwilowe, możliwe przy takim stresie. Zaraz będą wyniki badań... - usłyszała Natalia. Przetłumaczyła te słowa, widząc, jak jej obecność pomaga starszej pani w pokonaniu lęku. Czowała go, bo jej prawa ręka drżała.

Na szczęście poza ogólnymi potłuczeniami pani Helga nie miała większych obrażeń.

- To cud! - mówili lekarze.

A Natalia wiedziała, że to nie żaden cud, tylko... przeznaczenie. Musiały się bowiem odnaleźć.

W szpitalu miały czas, by porozmawiać. Helga wyjaśniała rodzinne zawiłości, z których Natalia nie zdawała sobie sprawy. Ich prababka, Ruth Wessollek, prowadziła w przedwojennym Sensburgu znaną kawiarnię, która nazywała się Einsidelei. Obok niej biegła droga do Źródłka Miłości nad jeziorem Czos, znanego już wtedy. Dziś w tym miejscu stoi nowoczesny pensjonat.

- Ruth piekła świetną szarlotkę i miała najlepsze wafle w mieście. Ludzie przychodzili tu niemal codziennie, a już sobotnioniedzielne wyprawy nad Źródłko Miłości nie mogły obyć się bez wizyty w Einsidelei! - opowiadała ze swadą Helga. Gdy bowiem dowiedziała się, że jest prawie zdrowa, tylko nieco potłuczona, i poleży tu jedynie dwa dni na obserwacji, wstąpiło w nią jakby nowe życie.

- Dlaczego ta kawiarnia tak się nazywała? - dopytywała Natalia, śledząc z zaciekawieniem historię swojej rodziny.

- Einsidelei to inaczej pustelnia. Ta kawiarnia nie dość, że była na końcu miasteczka, na uboczu, to jeszcze zapewniała swoim gościom naprawdę wiele intymności. Przepierzenia, pergole i mnóstwo kwiatów. Goście mogli wychodzić i pojawiać się niepostrzeżenie. Dlatego lubili tu wracać. Ileż miłości tu rozkwitło lub się zakończyło! To miejsce doskonale pasowało

do sąsiedztwa, czyli Źródółka Miłości! - Helga chętnie mówiła, widząc w tej sympatycznej Polce oddanego słuchacza.

- Pani Helgo, czy zatem... to możliwe, że pani i ja... że jesteśmy rodziną? - zapytała wreszcie Natalia, ciesząc się z tego dziwnego zbiegu okoliczności, który sprawił, że się spotkały.

Nagle uświadomiła sobie, że przecież... jej ojciec, Rajmund Wessollek, leży właśnie w tym szpitalu, tylko piętro niżej!

- Odwiedzę go i zapytam! - postanowiła i pożegnała Helgę.

Ojciec leżał na Oddziale Intensywnej Terapii Medycznej, podłączony do kabli i monitorów. Pielęgniarka zapytała, kim Natalia jest dla niego.

- Jestem jego córką - wyszeptała przejęta, bo od lat tak o sobie nie mówiła.

Ojciec był blady i zmęczony. Leżał prawie bez ruchu, cieszył się jednak, gdy ją zobaczył.

- Natalia... - szepnął.

- Tato...

- Ja wiem, tyle lat...

- Tato, wszystko będzie dobrze.

- Tak, wierzę w to.

- Muszę ci o czymś powiedzieć...

I Natalia opowiedziała o wypadku, o Heldze i jej opowieści, o Einsidelei, którą prowadziła prababka.

- Wiedziałem o tym wszystkim, ale jak ci miałem opowiedzieć, skoro nie chciałaś się ze mną spotykać? - zapytał ojciec, z trudem dobierając słowa.

Rozmawiali jeszcze chwilę, powoli zaczynały odżywać ich rodzinne więzy, które tak naprawdę nie zostały zerwane. Były tylko... zaniedbane...

Natalia wróciła do domu pełna przeświadczenia, że oto wystarczyło kilka godzin, by jej życie trafiło na inne tory. Znów miała ojca, któremu mimo upływu lat łatwo i niemal samoistnie wybaczyła, oraz nową ciotkę Helgę, której nigdy nie poznałaby, gdyby nie brawurowy kierowca.

Rano ostry dzwonek telefonu zerwał ją na równe nogi.

- Natalia? Tu mama... Ojciec umiera.

- Nie - jęknęła głucho kobieta, szukając z zamęcie spodni i bluzki. Nie mógł umrzeć teraz, kiedy dopiero się odnaleźli!

Zanim dotarła do szpitala, Rajmund Wessollek zmarł. W dniu pogrzebu nad jego trumną stały nie tylko córka i była żona, ale również niemal nieznana Helga.

Natalia uświadomiła sobie, jak łatwo zmarnować swój czas. Gdyby wcześniej próbowała zbliżyć się do ojca, miałaby dziś więcej wspomnień. Świat przestał być już białoczarny jak dawniej. Płakała nad nieuchronnością, a jednak czuła wielką wdzięczność, że dane jej było ostatnie spotkanie z ojcem. Chociaż tyle.

Podniosła głowę do góry. W gałęziach cmentarnej brzozy siedział czarnogranatowy kruk. Patrzył na zebranych nad grobem ludzi. Nagle przekrzywił głowę i zerwał się powietrze. Z głośnym skrzykiem zatoczył krąg nad cmentarzem.

- To ojciec... Może chciał się ze mną pożegnać? - wyszeptała Natalia, tuląc się do ramienia matki.

I obie patrzyły, jak kruk odlatuje do swojej niebieskiej pustelni...

Rzeka

Zbiegło to życie jak jeden dzień, moja Anno... - zamruczał stary Karol Sabellek, rolnik z Pustników.

- Oj, zbiegło się jak stary wełniak, mój Karolu - dodała Anna, stawiając na stół talerz z rosółem. Nasypała pokrojonej drobno pietruszki, którą przyniosła z ogrodu. Tak się u nich jadło. Rosół i dużo pietruszki. Ludzie w sąsiednim Starym Gielądzie jedli z koprem. O wyższości obu rosółów potrafili dyskutować długo i zawzięcie w drodze z kościoła lub gminy, nigdy nie dochodząc do porozumienia.

Przez chwilę jedli w milczeniu, Karol lekko siorbiąc, Anna zaś cicho i nabożnie, jakby to jedzenie było cichą modlitwą.

- A pamiętasz, jakieś ślub brali? - zapytała nagle, wyławiając kawałek marchewki.

- Oj, pamiętam. Toć to takie czasy niedawne! Dopiero co były. A tu już zbierać się trza do ostatniej podróży... - westchnął Karol, spoglądając na żonę.

I zobaczył przez chwilę jej jasny długi warkocz, który kiedyś spłonął. Anna ratowała wtedy krowy przez pożarem. To było już po wojnie. Oboje pochodzili z Pustników i jak czasy się uspokoiły, postanowili się pobrać. Gospodarstwo przejęli po rodzicach Anny. Zamieszkali w małym domku. Podobnych stało we wsi kilka. Nazywali je „kochówkami”, od nazwiska Ericha Kocha, który przed wojną zarządza! prowincją wschodniopruską. To za jego czasów zaczęto budować te małe, jednorodzinne budynki, niskie i z niewielkimi oknami.

Karol z Anną lubili swój dom. Naprzeciwko stała niska obora, do połowy murowana, od połowy drewniana. I właśnie wtedy, już po wojnie, uderzył w tę oborę piorun. Dach zajął się zaraz, a Karol nie mógł nic zrobić, bo leżał w gorączce chory na zapalenie płuc. To Anna

uratowała wszystkie krowy. Wbiegła w ten ogień odważna i harda, jakby z żywiołem była za pan brat. Kijem wyгнаła zwierzęta. Rozbiegły się na wszystkie strony, spanikowane i ryczące na głos swoje krowie żale.

Jasny warkocz zamajtał bezradnie i na chwilę spotkał się w ostatnim pocałunku z płomieniem. Dobrze, że Anna zauważyła, że jej włosy płoną i szybko zarzuciła na głowę kapotę, co wisiała na gwoździu. Poczula śmierdzący dym i gorąc nie do wytrzymania. A potem nie miała już warkocza. Więcej go nie zapuściła.

I spojrział Karol na jej piersi, całkiem teraz obwisłe i przyległe do ciała jak woreczki z gorczycą, którymi czasem okładał swoje zbolące reumatyzmem stawy. I przypomniał sobie, jak narodził się ich syn Viktor, a całkiem młoda jeszcze Anna z dnia na dzień zamieniła się w dojrzałą kobietę. Karmiła piersią małe zawiniątko, a on w tym czasie budował mu z desek kołyskę. Ach, jak bardzo kochali tamtego Viktora! Teraz ich jedyny syn mieszka z żoną i dziećmi w Niemczech, przyjeżdża rzadko i na chwilę, nie czując żadnego sentymentu do rodzinnej wsi w sercu zielonych Mazur.

Anna poruszyła się niespokojnie. Spojrzała na Karola.

- Co się tak patrzysz na mnie? Brudna jestem?

- Nie, tak sobie tylko myślę.

- O czym ty tak myślisz, co?

- Że życie uciekło jak rzeka.

Rzeka... Raz tylko był z Anną na Krutyń. Popłynęli ze stancy wódnej w Sorkwicach. Anna trochę się bała, ale udawała odważną. Patrzyła, jak Karol wiosłuje, zanurzyła dłoń w cieplej wodzie i ze śmiechem chlapała go kroplami. Miała wtedy takie piękne dłonie. Drobne, długopalczaste, jak pianistka. A przecież pochodziła z prostego wiejskiego rodu, powinna mieć je silne, z krótkimi palcami. Może wtedy łatwiej byłoby jej znosić trudy życia? Z czasem jej dłonie zrobiły się szorstkie i ogorzałe słońcem, pokryły się starczymi plamami, na które nie pomagał nawet napar z rumianku i fiołka trójbarwnego. Potem doszedł jeszcze reumatyzm. Powyginane palce żony przypominają teraz konary sosny walczącej z wiatrem.

- Pójdę chyba do ogrodu. Brukselkę już trzeba ogłowić. Może nasion zbiorę z kwiatów.

- Idź, kochana.

Powiedział „kochana”. Jak dawno tak jej nie nazywał! Ostatni raz... może na ślubie Viktora. Może trochę później. Tamten ślub... Anna cieszyła się swoją niemiecką synową, ale jej rodzice swoim zięciem trochę mniej. To małżeństwo było według nich mezaliansem. To nic, że Viktor skończył studia medyczne i został lekarzem. Pochodził z jakiejś małej wioski, a

jego rodzice nie mieli żadnej pozycji społecznej! Zwykli rolnicy. Nie takiej przyszłości chcieli dla córki. Teraz, gdy Viktor zamieszkał pod Berlinem, robili wszystko, by odciął się od swoich mazurskich korzeni. I chyba plan się powiódł. Yiktor miał swój gabinet, żona była prawdziwą doktorową, a niedzielne obiady spędzali wspólnie, jedząc tradycyjną mięsną zupę, niemieckie zrazy i czerwoną kapustę na słodko.

Anna wstała. Lekko wilgotnym zmywakiem przetarła ceratę na stole. Zebrała naczynia. Wstawiła do zlewu.

- Pozmywam - powiedział do niej Karol.

Nigdy tak nie mówił. Zawsze to ona zmywała. A dziś... Nagle zapragnął wyręczyć ją w codziennym obowiązku, bo dziwna czułość nawiedziła jego serce. To nic, że Anna chodzi pochylona do ziemi, że ma całkiem siwe włosy, pomarszczoną jak suszona śliwka twarz. To nic, że jej ciało jest stare. Karol traktował je jak dziwne przebranie, pod którym wciąż oddycha jego dawna jasnowłosa dziewczyna.

Gdy został sam, poczuł dziwną senność i zmęczenie. Położył się na wersalce w pokoju stołowym. Chwilę odpocznie i pozmywa.

Leżał, nie wiedząc, jak długo to trwa. Ta czułość wciąż w nim była. Zapominał wszystkie trudne i złe chwile, które kiedykolwiek poróżniły go z żoną. Towarzyszyło mu wspomnienie aromatycznego rosółu i cichego obiadowego obrządku. Słyszał kroki Anny w ogródku za domem. Zaraz wstanie, pozmywa. Jeszcze tylko chwilę odpocznie, pomyśli...

Tępy ból lewej strony ciała. Na przestrzał.

Brak powietrza.

Znów ból.

To wszystko zmaćciło nagle jego spokój.

Jakby ktoś zamieszał kijem w zamulonym bajorze.

Anna wróciła przed zmierzchem. Zagadała się jeszcze z sąsiadką. Wymieniły nasiona cynii i aksamitek.

- Karol, już jestem. Skrodzka mnie zatrzymała.

Cisza.

- Karol, gdzie jesteś?

Anna weszła do kuchni. Naczynia wciąż były w zlewie. Nie pozmywał. Pewnie mu się odwidziało. I dobrze, jeszcze by co potłukł.

Pokój. Wersalka.

- Ty śpisz? A co ty będziesz w nocy robił? - Podeszła do leżącego mężczyzny. Poruszyła za ramię. Było już lekko zeszywniałe, nie dało się go obudzić dotknięciem.

Jej krzyk chyba ją samą zaskoczył.

Po raz pierwszy mąż nie odpowiedział na jej wołanie. Zawsze był przy niej, tuż obok, a teraz wydawał się taki odległy. Jak z innego świata.

Zrozumiała, że nigdy już nie będzie Karola.

Że dziś przy stole pożegnał się z nią. To pewnie dlatego tak dziwnie na nią patrzył. Może coś przeczuwał?

Pożegnała go łzami. A potem zasłoniła niebieską serwetą wszystkie lustra i telewizor, otworzyła okna i drzwi, by pruska dusza Karola mogła spokojnie odlecieć do nieba.

Słoneczniki

Greta zebrała nasiona jej ulubionych letnich kwiatów - aksamitek, onętków, nagietków. Włożyła te okruchy lata do papierowych kopert. A potem wykopała ostatnie słoneczniki. Od jedzenia pestek miała poczerniałe opuszki palców. Zanosila słoneczniki sąsiadce, zachęcając:

- Pani Szlonska, pani weźmie, poje sobie, to bardzo zdrowe! I sąsiadka, Mazurka, co to wyszła za mąż za kowala, siadała na ławce przed domem i wyjadała pestki jak szpak.

Gdy Greta pracowała jeszcze w szkole, robiła wszystko, by jej uczniowie pokochali literaturę. Zwięzłości małych form uczyła ich od Czechowa, rozstrzygania moralnych dylematów od Dostojewskiego. Lubiała opowiadać o poezji; pozwalała wtedy słowom płynąć, przepłatając strofy licznymi dygresjami, i dopiero ostry dzwonek na przerwę kończył jej opowieść. Teraz była już na emeryturze i czuła, że słowa w niej uwięzły.

Samotność Grety nie była pusta. Nie miała rodziny i tej masy domowych obowiązków z nią związanych. Był więc czas na czytanie książek, słuchanie muzyki i uprawianie ogrodu. To były jej ulubione zajęcia. Niechętnie spotykała się z ludźmi, a wielką wdzięczność do wszechświata okazywała uprawianiem zagonów. Ludzie we wsi mówili, że Greta trochę zdziwaczała. Może miała to po matce?

Matki prawie nie знаła. Jej obraz majaczył w pamięci, stopniowo wymazywany ze wspomnień. Pamiętała tylko, jak ojciec kiedyś powiedział do niej o matce:

- Ona wymaga opieki, muszę ją wywieźć z domu.

A potem Greta pomagała jej pakować ubrania do walizki.

- Uczesz się! - warknął na matkę ojciec, a ona posłusznie sięgnęła po drucianą szczotkę i próbowała uczesać jasne poplątane pasma. Towarzyszył temu nieprzyjemny odgłos rwanych włosów.

- Mamo, dokąd jedziesz i kiedy wrócisz? - pytała Greta, ciągnąc kobietę za sukienkę w białoniebieskie pasy.

Matka spojrzała na nią nieprzytomnie.

- Jak wyzdrowieje, to wróci - powiedział ostro ojciec. I dodał, zwracając się do matki:

- No, pożegnaj się już z Gretą.

Pocałowała ją tylko lekko w czoło. Greta nigdy więcej jej nie zobaczyła.

Po kilku dniach pojawiła się obca kobieta. Marta. Zamieszkała w ich domu, zajęła się ogrodem i obejściem.

- To twoja nowa mamusia, tamta była chora psychicznie - powiedział ojciec, nie wyjaśniając nic więcej.

A mała Greta przez całe dzieciństwo czekała na wyjaśnienia, bo nie rozumiała, jak można zabrać mamusię, dać inną i żyć dalej tak, jakby się nic nie stało. Tamta mama była lepsza. Wprawdzie patrzyła czasem tak dziwnie, jakby nic nie widziała, ale za to jak ładnie tańczyła rankiem na trawie!

Macocha nie okazywała miłości swojej pasierbicy; szybko urodziła dwoje dzieci, którymi Greta musiała się zajmować, gdy dorośli szli do pracy w polu.

- Wstyd i obraza boska! Tamtej już nie chciał, to nową sobie sprowadził! - usłyszała dziewczynka któregoś dnia czyjś głos, gdy w sadzie, w rozwieszonym między drzewami prześcieradle kołysała do snu młodszego brata. Obejrzała się, ale nikogo nie zauważyła.

Greta wybiegła na drogę. Jakaś obca kobieta szła wolno, poganiając kijem psa. Mruczała coś pod nosem. Obejrzała się i wtedy Greta zauważyła, że tamta ma na nosie szpetną brodawkę, która nadawała jej wygląd czarownicy.

A potem mały czarnowłosy człowieczek przewrócił ład w całej Europie i odebrał ludziom godność oraz prawo do szczęśliwego życia, bez względu na narodowość.

Ojciec zmarł kilka lat po wojnie. Marta wysłała Gretę do szkoły z internatem. Skromna renta po ojcu dawała jako takie utrzymanie. Skończyła studia, pewnie na przekór macosze, i wróciła do rodzinnej wsi jako nauczycielka. Dopiero teraz starzejąca się już Marta była dumna ze swojej pasierbicy. Wybieliła nawet na jej powrót ściany w niskiej izbie.

- Tu będziesz mieszkała. - Pokazała ręką na skromnie, lecz czysto urządzone wnętrze.

I pewnie gdyby macocha nie wyjechała z dziećmi do Niemiec, do dziś żyliby tu wszyscy pod jednym dachem, wciąż kłócąc się o drobiazgi. Na szczęście pieniądze okazały się ważniejsze od ojczystych sentymentów i któregoś dnia Marta pożegnała się z udającą smutek Gretą. Dopiero po rozstaniu z macochą ta prawie trzydziestoletnia kobieta mogła o sobie powiedzieć, że zaczyna wszystko od nowa.

Życie zbiegło szybko, dzielone na pracę i powroty do domu. Nauczycielska emerytura zapewniła małą stabilizację. Codziennosc wypełniła wolny czas po brzegi. Czasem jednak w owej codzienności trzeba zbłądzić, by coś odnaleźć...

Wtedy też był wrzesień. Dojrzewały słoneczniki. Greta patrzyła czasem na spotykających się na rozstaju dróg młodych mieszkańców wsi. Siadali na kamieniach i jedli pestki.

Któregoś dnia wzięła koszyk i poszła na grzyby. Ludzi mówili, że jest wyjątkowy urodzaj na podgrzybki i podosiniaki.

Weszła głęboko w las, co chwila znajdując brunatne kapelusze. Wkładała je do kosza z radością, nucąc jakąś piosenkę z dzieciństwa. Mijały godziny, słońce powoli chowało się za horyzont, a ona dopiero wtedy zauważyła, jak bardzo oddaliła się od swojej wsi.

Dotarła na skraj lasu, do drogi. „Droga zawsze dokądś prowadzi” - pomyślała. Idąc, mijała obce jej miejsca: pola, łąki, młodziaki. Zauważyła jakiś dom. Na schodach siedziała kobieta trochę starsza od niej. Na kolanach trzymała tarczę słonecznika.

- Dzień dobry, chyba zabłądziłam, czy dojdę tą drogą do wsi? - zapytała Greta.

Kobieta spojrzała na nią nieufnie.

- Za jakiś kilometr będzie wieś. Wólka Prusinowska.

- Och, aż tu doszłam? Dziękuję pani bardzo. Mogłabym prosić o szklankę wody?

Kobieta wstała i poszła do domu. Wróciła z kubkiem.

Dopiero teraz Greta zauważyła, że tamta miała na nosie szpetną brodawkę. Podobną już kiedyś widziała...

- Ten las kryje w sobie wiele tajemnic. Można w nim zbłądzić, nie bała się pani sama iść tak daleko? Zaraz się ściemni.

- Pierwszy raz mi się zdarzyło, że zabłądziłam. Oby tylko dojść do drogi, do wsi, potem może ktoś mnie podwiezie.

- Pani siądzie, odpocznie chwilę. Podwiozę panią potem. Od śmierci męża żyję sama na tym odludziu, więc muszę mieć samochód.

Greta zgodziła się. Usiadła.

A tamta kobieta, by zabić czas, zaczęła opowiadać.

- To było przed wojną, tak matka mi mówiła. Poszła kiedyś na jagody, w te leśne ostępy. Nagle zauważyła, że drogą jedzie jakiś mężczyzna. Zdenerwowany był bardzo, popędzał konia, krzyczał. Wjechał w tę drogę, co pani nią przyszła. Matka widziała to, ale poszła w swoją stronę. Miała już prawie całą kankę jagód, gdy nagle zachciała za potrzebą,

wie pani. W olszynę weszła, patrzy, a nad stawem, co był zaraz za olszyną, damski pantofel leży. Podeszła bliżej i w trzcinach znalazła rękaw od sukienki. Na rozmokłej ziemi widać było ślady męskich butów. Od razu skojarzyła, że tu musiało się coś straszego wydarzyć. I że mógł to zrobić tamten na furmance... Nie powiedziała o tym nikomu. Przede wszystkim bała się pójść z tym na policję. Dopiero przed śmiercią wyjawiała mi tajemnicę. Ona dobrze wiedziała, kto to był. Chodziła nawet pod jego dom. Ale nigdy nie powiedziała mi nic więcej. Ta historia... wciąż jest dla mnie tajemnicą. A wie pani... Ten rękaw od sukienki to jeszcze u mnie na strychu gdzieś jest. Przyniosę go, pokażę.

Greta rozejrzała się po obejściu. Skromne, schludne urządzone. Główna izba, w której stał piec i wersalka. Widać, że tamta kobieta w swoim wdowieństwie zawężyła zasięg swoich kroków. Może boi się obudzić ducha zmarłego męża, drzemiącego w którymś z pokoiów?

Zmęczone nogi odpoczywały, pulsowały piekąco. Kosz pełen grzybów stał obok niej. Mimo wszystko warto było zabłądzić. To grzybobranie było wyjątkowo udane. Gdy już wróci do domu, będzie miała co robić.

Po kwadransie tamta kobieta wróciła, trzymając w ręku starą torebkę po cukrze.

- Znalazłam.

Podowała torebkę. Greta zajrzała do środka.

Na dnie leżał zwinięty lekko zakurzony rękaw od białoniebieskiej sukienki jej matki. testament

Greta Pałasz szła wolno w kierunku wzgórza. Wtulona w chustkę, wciągała znajomy zapach lawendy, którą przekładała ubrania w szafie. To był zapach domu - bezpiecznego, choć tak odległego. Zamyślona, początkowo nie zauważyła, że mijający ją na ulicy ludzie witali się z nią. Dopiero po chwili dotarło do niej, że tamten pan, tamta pani zareagowali na jej widok. Czasem nawet uśmiechnęli się pytająco. Wyjechała stąd jako trzydziestodwuletnia kobieta, wróciła z bagażem dodatkowych trzydziestu lat. Mieszkańcy powinni ją mijać raczej jak turystkę, a nie jak dobrą znajomą.

„Uśmiechają się, to znaczy, że może zapomnieli o tym, co zrobiłam...” - przemknęło jej przez myśl. Doszła do wzgórza. Wchodziła wolno zboczem, całkiem sama. Kiedy przychodziła tu trzydzieści lat temu, napotykała wielu ludzi, a gwar ich rozmów i śpiewy towarzyszyły każdemu jej krokowi.

Przypomniała sobie nagle tamte niedzielne popołudnia; ludzie rozleniwieni słońcem zwykle przychodzili tu na spacer. Wspinali się na wzgórze poddani dyktaturze tego miejsca. Było z pozoru zwyczajne, zarośnięte krzewami tarniny, która w swojej bezkarności z roku na rok coraz bardziej anektowała zbocza kłującą pajęczyną.

Mieszkańcy Sensburga nad Czosem mówili, że przyciągają ich na wzgórze duchy przodków. Mimo że minął już czas pogańskich ognisk i wyznań wiary w kamiennych kręgach, to energia tego miejsca wciąż była wyczuwalna - drzemała w podziemnych paleniskach. Niektórzy, wchodząc na wzgórze, odczuwali na plecach delikatne mrowienie.

- To miejsce zakłète - mówili i nazywali je potocznie Łysą Górą.

U jej podnóża odbywał się koński targ. Na szczycie zaś stał wiatrak. Tu mielilo się mąkę dla ludności. Którejś wiosny nad miasteczkiem przeszła burza. Na nic ludziom zdały się pochowane po kieszeniach i sakiewkach złotawe kamyki, zwane piorunami lub prątkami bożymi. Nie ustrzegły przed ognistym żywiołem, który uderzał raz za razem - najpierw w dom nad jeziorem, potem w stare drzewo. Na koniec zmierzył się z wiatrakiem na Łysej Górze.

Ludzie nie wierzyli, że ta wielka drewniana budowla mogła tak szybko spłonąć, mimo deszczu opadającego na ziemię grubą kurtyną.

To, co zostało po wiatraku, posłużyło do budowy wieży widokowej, która miała być najwyższym punktem miasta. Nadano jej imię Bismarcka, bo w tamtych czasach jego imię nosiły skwery, pomniki, a nawet artykuły spożywcze i zapalki. Łysa Góra przestała być Łysą Górą, a została wzgórzem Jaenike, od nazwiska oddanego miastu burmistrzowi, który marzył, by to miejsce żyło swoim życiem. Nakazał posadzenie drzew, wykonanie alejek. Ludzie przychodzili tu latem na spacer, a zimą dzieci zjeżdżały na sankach aż do samego Jezioraka Magistrackiego.

Cieszył się burmistrz, poczciwy Hermann Jaenike, widząc, że mieszkańcy tak chętnie i gromadnie tu przychodzą. Nawet gdy zaczęli palić ogniska z sosnowych gałęzi, też się cieszył.

- To pogańskie zwyczaje jakieś - mówili niektórzy.

- Ponoć na wzgórzu miejsce kultów pogańskich było. Nie potrzeba duchów wywoływać - dodawali inni.

Mało kto jednak słuchał tego.

Czasy były niespokojne, na ziemi pruskiej przybywało cmentarzy. Nie wiadomo, kto pierwszy pochował na wzgórzu nieznanego żołnierza. Po tym grobie pojawiły się następne - mimo sprzeciwu burmistrza i jego współpracowników. Po pewnym czasie miejsce to zmieniło się w ponure cmentarzysko. Nie było już tak radosne - nie wypadało przecież śmiać się i rozmawiać beztrąsko, skoro obok były groby. Matki upominały swoje dzieci:

- Nie bawcie się procami, nie rzucajcie już tymi kamieniami, dajcie spokój.

Lata świetności wzgórze odchodziły w zapomnienie. Stary Hermann umarł smutny, że nie wszystko mu się w życiu udało.

Greta Pałasz uświadomiła sobie, że przez te trzydzieści lat tak wiele zmieniło się - nie tylko w niej samej, ale również w mieście, z którego wyjechała, by zacząć życie od nowa.

Trzydzieści lat temu była żoną bogatego mieszczanina Edwarda Pałasza. Kiedy wychodziła za niego, matka mówiła:

- Zobaczysz, że go pokochasz. Miłość w końcu przychodzi, nawet po ślubie.

Greta miała poczucie, że to nie małżeństwo, a transakcja.

Przez parę lat zajmowała się liczeniem pieniędzy, stojąc za ladą jednego ze sklepów, którego była współwłaścicielką. Artykuły kolonialne. Pachniało w nim wszystkim, a najczęściej dobrym mydłem przywożonym z Włoch.

Gdyby tamten mężczyzna, Kurt, nie przejeżdżał wtedy przez miasto... Był podróżnym z Niemiec, zatrzymał się w Sensburgu w hotelu tuż przy rynku. Nazajutrz miał wracać. Chciał jeszcze matce kupić gościniec. Wszedł do sklepu i zobaczył piękną, choć smutną kobietę, stojącą przy półce z włoskim mydłem.

W jej oczach dostrzec można było zainteresowanie przybyszem z dalekiego świata. Porozmawiali ze sobą chwilę, on kupił prezent i... wrócił do niej nazajutrz, nie zważając, że zmienia plan podróży.

Wieczorem zaprowadziła go nad jezioro, poszli razem do Źródełka Miłości, a potem wypili kawę i zjedli ciasto w pięknej restauracji, o której ludzie mówili, że jest pustelnią zakochanych. Tak też się nazywała - Einsidelei.

Kurt został jeszcze jeden dzień. Greta już wiedziała, że jest zakochana, pierwszy raz w życiu. I przypomniały się jej słowa matki, że miłość przyjdzie po ślubie. Przyszła. Tylko że była to miłość do niewłaściwego mężczyzny.

Nie pamięta już, co czuła, gdy pakowała swoje życie do dwóch walizek. Mężowi zostawiła tylko list. Matce - swoje futro na zimę.

Zerwała wszystkie nici łączące ją z Sensburgiem. U boku Kurta odnalazła wprawdzie swoje szczęście i miłość, lecz bała się wrócić do rodzinnego miasta.

Dopiero szara koperta z niedźwiedzią łapą jako urzędową pieczęcią zmałyły spokojną codzienność. Minęło trzydzieści lat... Jakież to duchy przeszłości zamierzają do niej powrócić?

Z pisma wynikało, że jej prawowity mąż, Edward Pałasz, z którym nigdy nie miała rozwodu, umarł tydzień temu, a ona, Greta Pałasz jest jedyną spadkobierczynią jego dóbr.

- Pojadę tam, muszę - powiedziała Kurtowi, który chciał jej towarzyszyć, ale ona wolała wyruszyć w podróż sama.

Sapiący pociąg przywiózł ją do miasteczka. Budynki stacji nie zmieniły się - wciąż witały czerwonością cegieł, może trochę bardziej szarą. Poszła do miasta wolno, zwracając uwagę na wyrosłe drzewa i całkiem nowe domy.

Nie chciała nocować w swoim dawnym mieszkaniu w kamienicy w centrum. Wybrała hotel. Ten sam, w którym zatrzymał się trzydzieści lat temu Kurt. Stąd było blisko do notariusza. Tam miało nastąpić odczytanie testamentu.

Jak za dawnych lat poszła na wzgórze, które powitało ją tamtego dnia grobową ciszą, dosłownie i w przenośni.

- Dwadzieścia tysięcy marek przeznaczam na zakup części lasu nad jeziorami Juno i Czarnym, z przeznaczeniem na park miejski - notariusz czytał wolno, potykając się o drżącą kaligrafię liter, stawianych przez starego Pałusza.

- Natomiast żonie mojej, Grecie, która odeszła ode mnie trzydzieści lat temu, wybaczam i zostawiam... - Greta zgarbiła się pod tymi słowami.

Notariusz spojrział na nią uważnie, może nawet trochę bezlitośnie i przeczytał do końca ostatnią wolę zmarłego.

Z testamentu najbardziej zapamiętała słowo „wybaczam”. Dlaczego jej mąż w taki sposób chciał pokazać wspaniałomyślność? Może chciał ją ukarać, postawić pod publicznym pręgierzem? A przecież poszła za głosem miłości, nie umiała inaczej, bo chciała być po ludzku szczęśliwa. Greta wiedziała, że w małym Sensburgu zaraz będzie głośno o ostatniej woli bogatego kupca.

„... zostawiam klucz do naszego wspólnego kiedyś domu wraz z całym majątkiem” - w głowie wciąż brzmiały słowa notariusza.

W rękę trzymała znajomy jej niegdyś klucz. Weszła po schodach kamienicy. Ktoś ją minął, jednak nie rozpoznał.

Drzwi otworzyły się z cichym stęknieniem. Weszła do środka. Znajome sprzęty, meble, obrazy. Jej pokój. Wszystko było tu jak wtedy, gdy wyjeżdżała. Nawet książka z rozpostartą jak skrzydła ptaka okładką.

Usiadła na łóżku i rozplakała się.

Nie, nie dlatego, że odeszła do męża. Tej decyzji nie żałowała nigdy. Łzami oplakiwała siebie tamtą, która mimo iż wyjechała stąd pewnego dnia, wciąż tu była. Greta poczuła, że przeszłość ją ukarała i zdrwiła z niej. Miała przecież minąć, stać się czasem przeszłym, a ona wciąż czekała tu na nią, rozgoszczona w jej książkach, sukienkach i pościeli.

Greta położyła się na swojej dawnej poduszce. Poszewka miała zapach nieco zleżały, ale przebijał się przez niego inny zapach, bardzo znajomy. Kobieta sięgnęła pod materac i wyciągnęła... włoskie mydło. Takie samo, które trzydzieści lat temu sprzedała Kurtowi.

Stary Pałasz nigdy nie dowiedział się, że wtedy od tego mydła wszystko się zaczęło. Jakaś sąsiadka powiedziała mu tylko, że mydło odstrasza mole. Przyniósł więc ze sklepu kilka kostek i włożył w pościel i ubrania. Nie przeczuwał, że trzydzieści lat później ktoś zapłacze nad jego mydłem jak nad grobem...

^Powrócono.

Co takiego jest w powrotach, że tak łatwo się im poddaję? Może po prostu przynoszą dawną mnie? Powracam więc do znanych mi miejsc, spragniona minionego czasu, jakbym chciała coś dokończyć... Czuję się wtedy taka... powrócona. A wtedy wracają do mnie wspomnienia pewnej kobiety.

Czterdziestokilkuletnia Niemka Inga być może z tych samych powodów kochała powroty. Postanowiła odwiedzić swoją dawną wieś na byłych Prusach Wschodnich, w której się urodziła. To była jedna z tysięcy sentymentalnych podróży człowieka STAMTĄD. Jako porę roku wybrała babie lato. To najlepszy czas na poznawanie Mazurjuż bez tłoku turystów, a jeszcze z ciepłym słońcem.

Jej rodzinna wieś była podobna do innych, ukrytych za krętością mazurskich dróg, ale jakże bliska sercu. Była tam piaszczysta plaża, inna od tych, które Inga widziała podczas swoich licznych podróży po Niemczech i Francji.

Mazurska wieś połączona była z jeziorem łagodnym łukiem; zarosła gęsto miętą pieprzową oraz tatarakiem i pachniała intensywnie. Inga wciągała nosem ten zapach, znany jej z dzieciństwa. Plaże, na których do tej pory wypoczywała, miały wyłącznie zapach piasku i soli.

Przed wyjazdem na Mazury Inga raz jeszcze obejrzała album ze zdjęciami. Niewiele ocalało, a utrwalone na nich twarze i zarysy postaci prawie wyblakły. Na jednym z nich widać babkę Hildę na tle sadu przed domem. Ta prosta kobieta opowiadała nieraz o żywiołach nawiedzających mazurską ziemię. Na przykład o groźnej śnieżycy, zasypującej dom z każdej strony, sprawiającej, że trzeba było kopać tunel, by przepawić się do drogi. Żywioły były mazurską codziennością. Na tych obrzeżach świata zmienność pogody i jej surowe wyroki uczyły ludzi pokory i poczucia przynależności do wszechświata. Kiedy tylko zrywał się wiatr, babka stawała w oknie i mówiła:

- Diabeł jedzie na wesele.

Albo:

- Koń leci przez chmury.

Albo:

- Pewnie ktoś się powiesił.

Tamtej wiosny, kiedy już zapadła decyzja o wyjeździe do Niemiec, mówiła jeszcze:

- Zmora bije się z wiosną.

W pamięci Ingi wciąż tkwiła opowieść o zmorze zaplatającej koniom grzywy i ogony. Mogła też dręczyć ptaki, drzewa i ogień.

Kiedy na niebie pojawiała się tęcza, babka mówiła:

- Człowiek zatonął i tęcza go wypila.

A mała Inga już wyobrażała sobie topielca na Jeziorze Gielądzkim, bo wtedy jeszcze cały jej świat to był ten dom, wieś i to jezioro, otoczone lasami, i widziała w myślach groźną, piękną tęczę wypijającą z człowieka duszę. A gdy przychodziła do nich stara Baćławska, dodawała jeszcze:

- Jak na niebie tenca jest, to descu nie będzie. Pan Bóg ukarał ludzi potopem i dał im tence, cyli znak, że ziencej karać ich nie bendzie.

I kautki pamięta. Babka opowiadała jej o tych pracowitych skrzatach, które miały pomagać ludowi mazurskiemu w codziennej robocie. Nosiły małe czapeczki i buciki. Inga wyobrażała sobie, że hoduje te kautki w wielkim słoju po ogórkach, szyje im ubranka i wyprowadza na spacer, na kwietne łąki za domem. Inga dopiero w przedszkolu dowiedziała się, że kautki to polskie krasnoludki.

Chodziła czasem po polach i łąkach i mówiła do siebie, wyobrażając sobie, że towarzyszą jej koleżanki. Nie miała rodzeństwa, we wsi było mało dzieci. Czuli się samotni; do momentu, gdy odkryła, że rozmowa z samą sobą może być wspaniałą przygodą. Jej matka mówiła wtedy do babki:

- Mała znów gada do siebie!

A babka żegnała się i odpowiadała:

- Pilnuj jej, niech na te pola nie chodzi, bo ją babojędza weźmie!

Bali się wszyscy babojędzy, czyli żytniej babki, która ponoć porywała dzieci chodzące samotnie po polach. Dawne to były wierzenia, powinny były już zniknąć z tej mazurskiej świadomości, ustąpić miejsce innym, bardziej współczesnym i wytłumaczalnym, jednak w jej wsi świat się jakby zatrzymał.

Kolejna szara fotografia, którą zabrała ze sobą na Mazury. Widać na niej zarys jej domu. Zadbany, ukwiecony, z dachem z czerwonej dachówki. I znów babka Hilda, ubrana w prostą bluzkę i spódnicę, jeszcze niezamężna, niedługo przed narodzeniem córki i

kilkadziesiąt lat przed narodzeniem Ingi. Nieświadoma, że na starość będzie musiała się pożegnać z tym domem i ogrodem. Nie od razu po tej strasznej wojnie, ale w tak zwanej drugiej fali przesiedleńczej, już w latach siedemdziesiątych.

Inga pamięta ten wyjazd. Miała wtedy kilka lat, ale do dziś przechowuje w szufladach pamięci obrazy tamtego słonecznego lata, rozkwitłych słoneczników, wystrzelonych w niebo malw i rozrosłych rudbekii. To był sierpień. Rodzina i nowy dom w Giessen już czekały. Pamięta też pierwszą niemiecką jesień, która podobnie jak w Polsce załóciła świat. Kolorowe astry przekwitwały w przydomowych ogródkach, wszystko wokół przybrało barwy złota i czerwieni.

Często potem wracała pamięcią do tamtej ostatniej jesieni na Mazurach. Ludzie lubili taką porę, mówili o niej, że jest polska, złota... Ta niemiecka była znacznie cieplejsza. Powietrze nie było tak przesycone wilgocią, bo klimat był łagodniejszy i bogactwo kolorów kwitło dłużej, niezwarzone przymrozkami.

Dopiero w listopadzie zieleń krzewów stawała się dojrzalsza, jakby malarz dodał na palecie zieloności kilka kropel brązu i czerni. To znak, że świat zmierzcha, szykuje się do zimowej nocy.

- Jaka będzie ta zima? - pytała babka Hilda, wyrwana ze swojej ziemi. Na początku łagodność niemieckich jesieni i zim dziwiła, stopniowo jednak obie, Inga i babka Hilda, zaczynały odczuwać coś w rodzaju tęsknoty za zadymkami i nawałnicami śnieżnymi, zaspami po pas i światem zamilkłym od silnego mrozu.

Być może w swoim powrocie do dawnej ojczyzny Inga chciała znaleźć tamten dziecięcy lęk przed żywiołami i tęsknotę za milczącym światem, w pokłonie do praw natury? Czują się powrócona - do ziemi, którą kochała.

W Giessen, gdzie od czterdziestu lat mieszka Inga, od końca wojny działa Polonia. Polacy mają swoje stowarzyszenia, instytucje kulturalne, literaturę, muzykę, portale internetowe i wszystko inne, co łączy ich z krajem. W podróże sentymentalne jeżdżą coraz młodszy ludzie, szukający swoich rodzinnych korzeni, wiedzeni tym samym patriotyzmem, co rodziny repatriantów wyjeżdżające na ziemie byłych Kresów. W Niemczech wciąż mieszka około trzech milionów Polaków, z czego dwie trzecie używa języka polskiego w życiu codziennym. Prawie dwa miliony przedstawicieli Polonii ma podwójne obywatelstwo.

Ludzie, którzy kiedyś stracili ojczyznę, żyją ze skazą rozdwojenia. Dwie ojczyzny, dwa języki, podwójność marzeń i patriotyzmu. I czasem, niestety, podzielone myśli na widok zaniedbanego, wręcz zrujnowanego dawnego domu rodzinnego lub wyciętych starych lip, sadzonych dziadka ręką.

Dawny dom Ingi od wielu lat rozpada się, zaniedbany przez mieszkających w nim Polaków. Maleje, przyciągany bezlitośnie siłą grawitacji do ziemi, a zapomniany ogród całkiem zarósł olszyną i bzem. Między jego gałęziami nie przecisnę się już nawet duch babki Hildy...

Spotkanie

Jak w starym rzutniku, obrazy za oknem zmieniały się proporcjonalnie do prędkości osiągananej przez srebrne audi. Na miejscu obok kierowcy siedział starszy, lecz wciąż jeszcze przystojny mężczyzna. Spał z głową przechyloną na bok. Poduszka, podłożona pod pas bezpieczeństwa, wysuwała się na zakrętach, milimetr po milimetrze; była jak licznik odmierzający zakręty. Było ich coraz więcej i więcej, prosta do tej pory droga wydawała się przechodzić dziwną transformację. Zastanawiał się nad tym kierowca, młody blondyn, na pewno jeszcze przed trzydziestką, rozparty wygodnie z prawą ręką na podłokietniku z szarej skóry, pewny siebie w tym srebrnym audi.

Z radia leciała muzyka, po niej padały słowa, puszczał je mimo uszu, bo nie znał języka. Muzyka była natomiast uniwersalna, bo radiostacje w jego kraju grały podobną.

Zadzwoił telefon, mężczyzna dotknął tylko lekko ucha, w którym tkwił nowoczesny zestaw głośnomówiący. Kilka krótkich słów, na koniec: „ja ciebie też”, co we wszystkich językach świata ma podobne brzmienie i intonację, więc łatwo się domyślić, że rozmawiał z kimś bliskim.

Po kilkunastu kolejnych zakrętach mężczyzna dotknął ręką śpiącego pasażera, akurat w momencie, gdy poduszka wysunęła się spod pasa i głowa tamtego opadła bezwładnie. Przez chwilę śpiący wyglądał jak manekin z trashtestów, po chwili jednak głowa podniosła się do góry, oczy mężczyzny otworzyły się i spojrzały na kierowcę nieprzytomnie.

- Gdzie jesteśmy?

- Nie wiem. Zaraz powinna być jakaś tablica.

I rzeczywiście, za jednym z zakrętów kończyła się miejscowość rozciągnięta wzdłuż połatanej, nierównej drogi. Biała tablica z przekreśloną nazwą stała lekko przechylona, pomazana czerwoną farbą. Kierowca zwolnił, a starszy mężczyzna przeczytał na głos:

- Szymany.

- Daleko jeszcze? - spytał młody, wyraźnie zmęczony podróżą i stanem drogi.

- Nie, już niedaleko.

Cisza. Szum klimatyzacji.

- Ciekawe, jak ta miejscowość nazywała się przed wojną? - westchnął starszy.

Z głową opartą na miękkim zagłówku obserwował krajobraz.

- Tak, to już Mazury... - dodał.

Młody nie podtrzymał rozmowy. Chciał już dojechać na miejsce, wziąć prysznic w małym pensjonacie, napić się zimnego piwa. Obiecał dziadkowi, że go tu przywiezie, do tej jego dawnej ojczyzny, a w zamian za to dostanie na tydzień jego srebrne audi do dyspozycji. Wyjadą gdzieś z Sandrą. Już na samo wspomnienie o niej poczuł mrowienie na plecach.

- Może wrócimy trochę wcześniej? - zapytał z nadzieją.

- Może... - odrzekł tamten.

Oplątani Mazurami

- Bo wiesz... Sandra... Urlop zleci, a ja...

- Tak, wiem.

Starszy mężczyzna zamknął oczy. Myśli zastygły w nim jak tarotowy wisielec, niezwiastujący żadnych życiowych przełomów.

Tamta dziewczynka miała niespotykane zielone oczy i jasnorude włosy. Nie była ładna. Piegami swymi ciemnymi krawędziami wyraźnie odgradzały się od jasności skóry. Miała na imię Gertruda. Co to za imię dla małej dziewczynki! Wszyscy zdrabniali je więc i mówili: Trudka.

Jej ojciec był gospodarzem całą gębą. Dwadzieścia mórg ziemi, staw z rybami, chlew, stajnia, obora. Matka - uprawiała ogród, niańczyła dzieci i gotowała. A to kasza z warzywami, a to kapusta na mięsie, a to dzyndzałki - pruskie pierogi z mięsem. Bywało, że w niedzielę to i klopsiki królewskie z cielęciny były.

- Trudka, chodź do domu, na obiad! - wołała matka, a dziewczynka rzucała zabawę i przełaziła przez dziurę w płocie. On zostawał sam, nad brzegiem stawu, za tym nierównym płotem z gałęzi. Czekał, oblizując się na samą myśl o tym, co Trudka dziś ma na obiad.

Wynosiła mu potem w kubku zsiadłe mleko schłodzone w studni. Wypijał je chętnie i bawili się dalej, aż wołanie z domu obok obwieszczało obiad i u niego.

Raz poszli na kraniec wsi, w pola złociste, obrzeżone łąkami pszenicy i owsa; to było jeszcze przed żniwami. Gestem podpatrzonym u ojca zerwał dojrzały kłos, roztarł na dłoni, dmuchnął w niego i powiedział do Trudki:

- Dojrzało lato pięknie.

Pokazał, jaki jest dorosły, że umie te kłosa ocenić i wie, nie z kalendarza, ale po ziarnie, że żniwa za pasem.

Trudka spojrzała na niego z zachwytem i dumą i nagle puściła się biegiem na przelaj, przez te kłosa, z kąkolami i makami gdzieśgdzie. A on biegi za nią, krzyczeli, śmiali się. Było ciepło, ptaki w górze coś krzyczały, a zboża jak płynne złoto rozstępowały się na boki.

Jak tu nie odpocząć, skoro te pola same zapraszają: połóżcie się, odetchnijcie nieco, bo jeszcze w życiu się nabiegacie, nauciekacie.

Położyli się ze śmiechem, a on szybko i nieśmiało pochylił się nad Trudką i pocałował w koniuszek nosa. Piegowatego chyba najbardziej z całej twarzy.

Ona wciąż się śmiała - potraktowała to jak żart, ale odwzajemniła mu ten nieśmiały pocałunek, lekko, dla zabawy przecież:

- A to ode mnie dla ciebie!

- Chcesz być moją narzeczoną? - zapytał nagle, poważniejąc.

Trudka też spoważniała, usiadła wyprostowana i odpowiedziała:

- Tak, chcę być twoją narzeczoną.

A on zerwał źdźbło, zaplótł je niezdarnie i nałożył dziewczynce na palec.

- To mój pierścionek dla ciebie.

Ona roześmiała się i pobiegła dalej, a on rzucił się za nią, chcąc złapać za cienki warkoczek. Łany zbóż pokołysały ich do wsi.

- Dziadku, to chyba jakieś miasto? - wyrwał go z zamyślenia głos kierowcy.

Mężczyzna spojrział na tablicę. I znów na głos przeczytał:

Oplątani Mazurami

- Szczytno.

- Daleko jeszcze?

- To chyba dawny Ortelsburg. To już niedaleko. Ze czterdzieści kilometrów.

Kierowca westchnął z ulgą.

Bruchwalde4. Jego wieś. Zaraz ją zobaczy, stanie przed swoim - nie swoim domem. Sześćdziesiąt cztery lata temu matka zabrała go stąd. On płakał, bo została tam przecież Trudka! Widział, jak machała mu ręką w oknie, obiecał jej małżeństwo! Po co mu było iść do innej ojczyzny, skoro on był STĄD? Ruszyli. Patrzył na domy, pustoszejące z każdą godziną, na dziwny ludzki popłoch. „A módlcie się, aby wasza ucieczka nie wypadła w zimie i w szabat” - przypomniał mu się nagle fragment ewangelii według św. Mateusza, czytany głosem omy5 Skrodzkiej.

„To niesprawiedliwe, Bóg się od nas odwrócił, skoro musimy uciekać zimą” - pomyślał, obrażony na Stwórcę. „Nigdy już nie pójde do niego, do kościoła”.

A potem ta droga, w śniegu i mrozie, na starej furmance. Zakopany pod pierzynami wspominał lato, rudą dziewczynkę w zbożu, pierścionek, zsiadłe mleko...

Krętość dróg, pokonywana srebrnym audi, doprowadziła wreszcie na miejsce.

- To tutaj, zwolnij - powiedział do wnuka.

4Przedwojenna nazwa Bagienic Małych kolo Mrągowa

5Oma to babcia

Kierowca nacisnął hamulec. Samochód potoczył się wolniej po nierównej drodze, skręcił w prawo i minął tablicę z nazwą miejscowości.

- Bagienice Małe.

Więc tak się teraz nazywa jego wieś...

Wysiadł i poszedł dalej pieszo. Wnuk został w samochodzie.

Tamten dom był teraz dziwnie mały. Wtedy wydawał się większy. Czy to prawo grawitacji sprawiło, że budynek zapadł się wzdłuż murów, jakby chciał zniknąć z powierzchni ziemi? Czy to może świat urósł, napęczniał cywilizacją i hormonami zawartymi w jedzeniu?

Niemalowany od lat, może kiedyś był zielony, ale teraz jest wyraźnie szary. Okna te same, co wtedy, z nieszczelnościami załatаныmi watą. Dachówka czerwona, pokryta glonami i szarym nalotem.

- Mój dom... - westchnął.

W drzwiach stanęła jakaś kobieta, mogła mieć około czterdziestu lat. Obok jej nóg pojawiła się ciemna czupryna ciekawskiego kilkulatka.

„Mam nie mówić, że to był kiedyś mój dom, pamiętam o tym” - pomyślał mężczyzna i zbliżył się do płotu.

- Dzień dobry - przywitał się po polsku, z tym dziwnym niemieckim akcentem, rozpoznawalnym w tych stronach.

- Dzień dobry? - odpowiedziała pytająco, zdziwiona obecnością siwego, postawnego Niemca.

- Kiedyś tu mieszkałem... - Pokazał ręką niby niedbale, a jednak wszystko w nim drżało, bo bardzo był przejęty spotkaniem z minionym czasem.

Kobieta obejrzała się za siebie, jakby pierwszy raz w życiu zobaczyła swój dom, pomilczała, a po chwili zaprosiła go do środka. zaproponowała wodę z cytryną i lodem. Mężczyzna chętnie się zgodził. Minął próg. Kiedyś na nim wciąż siadywała oma Skrodzka. Zaplatała palce w wianuszek i tak trwała, patrząc na drogę. Popychała czas.

W sieni było ciemno i chłodno. Muchy popstrzyły niebieskie ściany. Wtedy były białe. Kuchnia. Ten sam piec kaflowy, teraz nakryty ceratą. Wtedy - używany codziennie. To było królestwo jego babki. Omy. Dalej pokój gościnny. Segment z płyty pilśniowej, lakierowanej, pamiętający lepsze czasy. Sztuczne kwiaty. Obrazek z Maryją. Paprotka.

Ta kobieta, która zaprosiła go do środka, wciąż coś mówiła. Jej język szumiał mu w uszach, pełen tych cz, sz, ć, ś. Tu, w kuchni, stał wtedy stary stół z rzeźbionymi nogami.

- Stare meble to mąż porąbał i spalił. Zagrzybione były. Na nic takie. Kupiliśmy nowe.

Nowy stół pręży się teraz dumnie w kuchni. Ma blat z płyty, z okleiną imitującą marmur.

- Za syna sąsiadów wyszłam, a tu od dzieciństwa mieszkałam - tłumaczy kobieta, a on ją uspokaja, bo przecież nie przyjechał tu, żeby zabrać jej ten dom.

- Mamo, tata wraca ze sklepu! - krzyknął synek, gramoląc się na parapet. Oma Skrodzka hodowała na tym parapecie pelargonie. „Muszkatle” - mówiła na nie. Teraz leżały tu jakieś gazety, magazyny z krzyżówkami. Nie było śladu po babcinych pelargoniach.

Spojrzał przez okno na drogę. Szedł nią mężczyzna w czapce z daszkiem, pochylony do przodu, wąsaty, może kilka lat starszy od żony. Niósł w foliowej torbie zakupy.

- Sławek, mamy gościa! - Kobieta wybiegła do sieni i szepnęła coś mężowi na ucho.

Po chwili gospodarz wszedł do pokoju, spojrzał nieufnym wzrokiem na Niemca, ale gdy ten wyciągnął z kieszeni paczkę dobrej kawy i bombonierkę, ściągnął czapkę i podał prawą rękę na przywitanie. Lewą szybko przecesał włosy. Były całkiem rude, a jego oczy zielone.

- Moja matka na pewno będzie pana pamiętała, ona tu żyła jeszcze przed wojną - odezwał się.

Spojrzał na syna.

- Biegnij no po babkę.

Było już za późno, żeby zareagować, powiedzieć „nie”. Po co kłopotać jakąś starszą panią? Mały jednak pobiegł chętnie, chcąc pokazać przed obcym, że jest grzeczny. Był inny niż jego ojciec, włosy miał czarne i gęste, w matkę się wdał.

Wrócił za chwilę ze starszą kobietą, lekko przegiętą do przodu. Chude nogi w brązowych pończochach stawiała niepewnie. W powykręcanych dłoniach trzymała kostur, zakończony okrągłą kulką z gałgana i folii. Poorana zmarszczkami twarz była wyblakła i kanciasta.

„Nie, to nie Trudka. To jakaś inna kobieta. Widocznie Trudka wyjechała z rodzicami, a w jej domu zamieszkała inna rodzina” - pomyślał z ulgą, bo bardzo bał się spotkania z dawną narzeczoną. Jak dobrze, że to nie Trudka! Bo wtedy... Miała warkoczyki, sukienkę w różowe kwiatki i piegi!

Obca staruszka spojrzała na niego uważnie. Oczy miała zamglone, prawie niebieskie. Dłoń na kosturze drżała lekko. I nagle wyszeptła jego imię:

- Emil?

I po chwili dodała:

- Wróciłeś do domu?

Skrzypce

Dedykuję Miriam

Odkąd pamiętam, leżały na starej trzydrzwiowej szafie. Przed kurzem chronił je foliowy worek. Czasami brałam je w dłonie. Może chciałam poczuć lekkość starego drewna albo włożyć mały palec w otwór na pudle? Miał piękny kształt litery „f”. Taki muzyczny zygzak, esflores pojedynczy. Otwór został tylko jeden. W miejscu drugiego powstało duże pęknięcie, a wystające drzazgi pozostały ostre, mimo upływu lat.

Stare skrzypce lubiły pieszczotę miękkiej szmatki. Piękniały pod jej dotykiem. Olejek cedrowy, który czasem w nie wcierałam, był jak makijaż. Tłusta powłoka dodawała im blasku i subtelności, pewnie dawno już zapomnianej.

Gryf z bezprogową podstrunnicą, zakończony główką w charakterystycznym kształcie ślimaka. Napinane za pomocą klinowych naciągów struny trwały podparte silnie na mostku. Przed wojną były robione z preparowanych jelit zwierzęcych. Może gdyby nie wynaleziono strun stalowych, ich łzawa muzyka mniej by bolała?

Miała piękną twarz i ciemne włosy. Gdy grała, wyginała się jak silna trzcina na wietrze. Łkałam razem z graną przez nią muzyką. Czułam, że takty pełne nut są jak kosze jabłek, a klucze wiolinowe niczym milczące muzyczne preludia krok po kroku zabierały mi matkę.

Nasze życiowe upadki i wzloty, te bemole i krzyżyki terażniejszości powracały wspomnieniami zawsze, ilekroć sięgałam po jej skrzypce...

Dziś znów je trzymam w dłoniach.

Wróciłam z dalekiej podróży z północy Włoch. To tam jest moja nowa ojczyzna, która przyjęła mnie jak swoją. Nie zna mojej przeszłości, a więc TAM nie wracają do mnie demony dzieciństwa. To ojczyzna oswojona jak potulna garbonosa gęś. Bo podobno gęsi można oswoić jak psy. Jedzą wówczas z ręki, towarzyszą człowiekowi w codziennych sytuacjach, a nawet... wraz z nim słuchają muzyki! A zatem... Nieprzypadkowo to właśnie gęsi ocaliły Rzym!

Moje polskie mieszkanie mieściło się na piętrze kamienicy na obrzeżach miasta. Jeszcze piętnaście lat temu czekała tu na mój powrót matka. A dziś? Słyszę tylko znany od dzieciństwa zgrzyt zamka. Skrzypnięcie nieoliwionych drzwi. Za nimi nikogo już nie ma. Czeka na mnie tylko kurz.

Mazurska ziemia, która jest moim źródłem, jest również ujściem. Jest tak samo piękna, jak bolesna. Kocham ją miłością wyrosłą z nienawiści - do ludzi STĄD, którzy nie zrozumieli mojego serca. Takie właśnie są moje paradoksy.

Skrzypce leżały nieporuszone upływającym czasem. Wyciągnęłam je z folii, w którą przyobklełam je niczym druhna pannę młodą w welon. Pod dotknięciem moich palców Przeszłość zadrżała.

Byłam znów małą dziewczynką.

Moje rude mocno skręcone włosy ścisnęłam gumką.

Nie chciałam się wyróżniać.

Biała koszula z długim mankietem. Piękne czerwone spinki. Wyglądały jak krople karminowej krwi. Skrzypce. Wtedy jeszcze całe, z dwoma otworami w kształcie litery „f”. Matka. Moja pierwsza bogini życia.

Taki obraz jej noszę pod powieką. Widzę, jak gestem głowy zarzuca włosy do tyłu. Przeszkadzają w grze. Później zetnie je zupełnie. Zdecyduje się na męską fryzurę. Tak wygodniej. A ja i tak w taki sam sposób będę odgarniała swoje włosy. Ten gest zapamiętam na zawsze.

Siedzę w kącie i słucham, jak ćwiczy. Chce rozpędzić palce na strunach. Wieczorem gra koncert. Może założy swój zabawny mazurski strój? Szeroką czerwoną spódnicę i białą koszulę zapinaną na guziki. Na to kaftanik. Matka mówiła o nim „westka” albo „jubka”.

Znów zostanę sama. Może przyjdą trojaczki z sąsiedztwa. Pójdziemy nad Czos. Karmienie kaczek już się nam znudziło, ale może spotkamy wędkujących kolegów?

Dźwięki skrzypiec matki. Daję się unosić ich fali. Nucę wraz z pociągnięciami smyczka, znam na pamięć cały repertuar. Matka grała na okolicznościowych przyjęciach i koncertach. Wskrzeszała ludową tradycję. Ocalała od zapomnienia. A tak naprawdę - zarabiała na siebie i swoją panięńską córkę, o której jej biologiczny ojciec wiedział doskonale, ale nigdy jej nie przytulił...

Spotkałam go kiedyś na placu Żeromskiego.

Byłam z mamą na gofrach. Zatrzymał nas rosły mężczyzna o kręconych miedzianych włosach.

- To ona? - zapytał, mierząc we mnie palcem.

- Tak.

- Pamiętaj, kurwo, żebyś się nie ważyła podać mnie o alimenty. Bo ją zniszczę.

Całe późniejsze życie trwałam w strachu przed zapowiadającym zniszczeniem. Nie wiedziałam, czego bać się bardziej - włoskiej mafii czy nieznanego ojca z mazurskiego miasteczka.

Rówieśnicy śmiali się ze mnie. Moja matka nie pracowała w biurze, a ja nie miałam ojca, gładkich włosów i dobrych ocen jak oni. To były wystarczające powody. Dzieci są takie okrutne. Z czasem ich pusty śmiech przeszedł w zazdrość i nienawiść. Tylko moje przyjaciółki trojaczki wiedziały, jaka jestem naprawdę.

Matka gra. Palce przebiegają po strunach. Sprawnie i szybko, na przekór kalectwu.

Matka nie ma pierwszych paliczków palców: kciuka, wskazującego i środkowego.

Miała wtedy szesnaście lat. Prawie siedemnaście. Już wówczas grała na skrzypcach. Niemcy nie zabili jej, bo miała talent. Rosjanie nie zgwałcili - bo grała im rzewne rosyjskie pieśni.

Tuż przed końcem wojny niosła w tornistrze ulotki. Wracała ze szkoły. Ktoś na nią doniósł. Może zazdrosna koleżanka? Wsadzili ją do samochodu i zabrali na przesłuchanie.

- Z kim współpracujesz, gadaj?!

Nie wiedziała, co powiedzieć. Niosła te ulotki dla zabawy. Nie знаła nawet ich treści.

Palce obcinali jej lekko stępionymi obcęgi do metalu. Brali je kolejno i wkładali między zardzewiały metal. Naciskali.

Nie można opisać bólu. Żadne słowo nie ma takiej mocy. Tylko wyobraźnia przynosi nam obraz cierpienia.

Uparła się, że nie będzie płakać ani krzyżeć. Patrzyła tylko, jak metal przechodzi przez skórę i kość. Jak pozbawiają części ciała, która przecież należała do niej. Nikt nie miał prawa zabierać jej palców!

Wiedzieli, że gra na skrzypcach. Skoro nie chciała mówić, będzie cierpieć. Na stole przed nią leżały trzy najważniejsze dla skrzypka części palców.

Lekarz, który dezynfekował i zszywał jej kikuty zwykłą nicią, mówił do niej:

- Płacz, bo ci serce pęknie.

A jednak nie płakała. Już nigdy potem nie zapłakała szczerze, z serca, z żalości nad sobą.

Lekarz obwiązał kikuty bandażem z apteki „Pod Orłem” w Sensburgu. Widziała brązowy napis na opakowaniu.

Udało się jej uciec z więzienia. Dotarła do domu, zabrała matkę i uciekły w las. W jakiejś leśnej chatce przeżyły dwa tygodnie.

Tyle brakowało do końca wojny. Wróciły do swojego domu, by zacząć życia od nowa. Gdy tylko palce zagoiły się, wyciągnęła skrzypce.

- Głupia, zostaw, to już nie dla ciebie - mówili ludzie.

- Ja wiem, co jest dla mnie - odpowiadała hardo, bo w jej duszy grała przecież muzyka.

Do starego garnka wsypywała piasek zebrany na miejskiej plaży. Tarła o niego kalekie kikuty, by zahartowały się i wygrały w zetknięciu ze strunami skrzypiec, które po wojnie były stalowe i twarde.

I wreszcie udało się. Pierwszy występ w nowo zbudowanym domu kultury. Oklaski. Radość. Wiara, że muzyka wróciła do jej duszy.

Czasem, gdy za długo grała, do rękawów białej koszuli spiętych karminowymi spinkami kapą krew. To pękały blizny na palcach. Stal strun była bezlitosna.

- Lepiej się wtedy gra, z poślizgiem! - Śmiała się, widząc moje przerażenie.

Za zarobione pieniądze żyłyśmy parę dni. A potem znów był jakiś występ, wesele, koncert dla wycieczki sentymentalnych Niemców.

Pracę kierowcy w firmie transportowej znalazła przypadkiem. Teraz jej palce nie tylko grały na skrzypcach, ale trzymały przez wiele godzin kierownicę. To wtedy obcięła włosy, by upodobnić się do swoich kolegów z pracy. Ukryć kobiecość, która nie zdążyła się na dobre w niej narodzić.

Z czasem zestarzała się brzydko, jak mężczyzna.

Przestała grać.

Nie było już białej koszuli z karminowymi spinkami ani kropli krwi na gryfie.

Byli za to obcy panowie i spotkania do ciemnej nocy. Matka wciąż dokrajała ogórki i boczek na zakąskę. Ja cierpiałam w samotności. Bo słowa obcych chłostały jak batem:

- Patrz, to córka tej tam...

I już wszyscy w miasteczku wiedzieli, o kogo chodzi.

Zostałam więc córką „tej tam”. Z czasem tak zaczęłam o sobie myśleć.

Któregoś dnia matka wróciła do domu pijana. Chwyciła za skrzypce. Trzymając za gryf, uderzyła nimi o ścianę, w miejscu, gdzie wystawał hak, na którym kiedyś wisiał bojler. Metal przebił stare pudło akurat tam, gdzie było otwór w kształcie litery „f”.

Skrzypce wisiały na tym haku przez kilka dni. Niczym zarżnięte zwierzę. Kruszały na moich oczach. Nie mogłam na nie patrzeć. Zdjęłam je wreszcie. Chciałam je pochować jak człowieka, w grobie. Nie mogłam jednak znaleźć łopaty, by wykopać dół, więc owinęłam je folią i położyłam na szafie.

Matka nigdy nie spytała, co z nimi zrobiłam.

Dlaczego tak łatwo zapomniała o swoim talencie?

Dlaczego wraz z obciętymi palcami straciła wiarę w swoją wielkość? Bo przecież wreszcie i tak poddała się...

Zmarła trzy lata później. Jej smutne serce, pozbawione muzyki nie mogło znaleźć wspólnego rytmu z ciałem. Metrum jego uderzeń stawało się coraz wolniejsze, aż wreszcie przyszedł czas na ostatni takt. Coda śmierci zabrała mi matkę.

Teraz nie muzyka przypomina mi ją, lecz cisza. Ta, którą zastaję po powrocie do naszego polskiego domu.

Przecieram szmatką skrzypce. Olejek cedrowy pieści ich kształt. Podobno w Olsztynie mieszka stary lutnik. Jutro do niego pojedę. Może ożywi skrzypce mojej matki?

Bo wciąż wierzę, że jej pruska dusza drzemie w czeluści drewnianego pudła i kiedyś zagra jeszcze swój ostatni koncert.

Słodkogorzkie chwile

Zapachniało miodem. Na stole stał dwulitrowy słój. Erna wdychała unoszącą się w powietrzu silną słodkogorzczą woń, chcąc poznać, z jakich kwiatów był zrobiony.

- Akacjowy - westchnęła.

Doskonale pamięta ten zapach. Kolor zresztą też - lekko żółty, słomkowy.

Przechyliła słój. Miód wciąż był lekko płynny, choć lato zmierzało nieodwołalnie ku końcowi, a po kwitnących akacjach zostało wspomnienie. Czy nie powinien się już skryształizować? Ludzie na rynku czasem mówili: „O, ten miód podgrzewany pewnie, skoro taki płynny” albo „Cukru dodane, nie warto”. Ale Erna wiedziała, że miód akacjowy zastyga bardzo powoli. Najwolniej ze wszystkich.

Gdy miód jest jeszcze świeży, nazywa się go patoką. Ojciec Erny mówił tak, gdy nalewał słodką maź do naczynia. Erna czuła, że słowo to samo w sobie jest tak gęste i ociekające słodyczą, że chciałoby się je szeptać jak zaklęcie: patoka... patoka...

Tak samo nazywały się dwie miejscowości i pięć gmin w dalekich Stanach Zjednoczonych oraz wieś na Dolnym Śląsku. Jak słodkie życie musieli wieść mieszkańcy tych ośmiu Patok, rozdzieleni narodowością, językiem, zwyczajami, a połączeni wspólną lepką nazwą!

Pasieka jej ojca stała w sadzie. Założył ją w trzydziestym piątym, namówiony przez brata. W tym też roku urodziła się Erna. Gdy przez wieś szli Rosjanie, wypalili wszystkie pszczoły. Erna i rodzice przeżyli, ukryci w leśnej ziemiance. Wrócili do domu i od razu

otworzyli okna i drzwi, żeby wygonić z niego duszny zapach oczekiwania. Ojciec poszedł do sadu. Sprzątał spalone resztki pasieki i płakał długo. Matka pocieszała go:

- Nie płacz, zasiedlimy ule od nowa.

Jednak ojciec nie chciał. Mówił, że nie ma już serca do pszczół. Stary podręcznik pszczelarstwa z roku 1923, autorstwa Leonarda Webera, wyniósł na strych. Podręcznik był kupiony jeszcze we Lwowie, skąd pochodziła rodzina jego matki. Jego ojciec był stąd, z Prus Wschodnich.

Dopiero po trzech latach ojciec Erny wysprzątał ule i kupił pszczele roje. Znów zniknął na całe dni w sadzie, a półki spiżarni wyginały się pod ciężarem gęstej słodyczy. Znowu ożywiła się topiarka do wosku, a ojciec wyjeżdżał do miasta na piątkowy targ, by sprzedawać miód i woskowe bryły. Te ostatnie ludzie kupowali do nabłyszczania drewnianych podłóg i wyrobu świec.

Erna pamiętała, jak matka robiła świece. Wlewała rozgrzany wosk w specjalne formy z knotem. Gdy masa zastygała, wystarczyło formę oblać wrzątkiem i ostrożnie wyjąć żółtawe wałki. Matka zawijała je w ścierkę i wkładała do szuflady w starym masywnym stole.

Erna sięgnęła do szafki po spodeczek i drewnianą łyżkę. To była wciąż ta sama łyżka, używana w jej rodzinnym domu. Cienki trzonek, na końcu kulka z rowkami. Nabrała miodu na spodeczek i wzięła do ust ten letni smak akacji. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki czas cofnął się, a Erna usłyszała nagle głos ojca:

- Nabierz sobie trochę patoki! Spróbuj, jakie to dobre!

Mała Erna chętnie nalewała miód na świeży chleb, jadła z apetytem, uważając na kapiące po bokach gęste krople.

- Nie jedz tyle chleba z miodem, bo ci jelita wyjdą pępkim. U nas we wsi niejednemu tak się stało - straszyla ją matka, a Erna do dziś nie wie, dlaczego to robiła. Czy chciała zachować więcej miodu na zimę? Może złościła się, że córka znów pobrudzi sukienkę?

Ojciec tego nie słyszał, bo kręcił miód w specjalnej wirówce. Niewielką korbką wprawiał urządzenie w ruch, wyglądało to trochę jak wyżymanie bielizny w starej pralce. Miód wyciekał gęstą strugą do specjalnego zbiornika. Świeży, zmieszany z zapachem wosku i powietrza, smakował najbardziej. Zimą miał już inny smak, pojawiały się w nim niewielkie gruzełki, które Erna rozcierała końcem języka o podniebienie.

Przypomniały się jej jeszcze zimowe wyprawy do sadu.

- Chodź, podkarmimy pszczoły - mówił ojciec i brał małą Ernę za rękę. Nieśli w dużych butlach syrop z wody i cukru. Wlewali go do podkarmiaczki - niewielkiego pojemnika ze szkła, zakończonego korkiem i miseczką. Syrop ściekał do środka.

„Ten współczesny miód smakuje chyba inaczej” - pomyślała Erna. Czy to pamięć dzieciństwa przywodzi nam na myśl wyjątkowość tamtych chwil, a może cywilizacja odebrała światu najważniejsze smaki? Pewnie Erna była już stara i jej kubki smakowe nie były już tak wrażliwe jak kiedyś...

Teraz miód przywoził regularnie dawny sąsiad z rodzinnej wsi, pan Marek. Ojciec Erny nauczył go pszczelarskiej sztuki, gdy stwierdził, że córka nie przejmie po nim pasieki, bo wolała iść do szkoły handlowej. Potem została sklepową w wiejskim geesie.

Czasem żałowała, że tak rozczarowała ojca i wolała podawać mleko, chleb, piwo i salceson zamiast, jak on, produkować złotą słodycz. Wtedy jednak czuła się we wsi kimś. Piękna Erna - tak o niej mówili mężczyźni, pragnący schłodzić się kolejnym łykiem z pękatej butelki, zwanej „granatem”. Dawała im czasem to piwo „na zeszyt”, jak się wtedy mówiło, ale tylko zaufanym, którzy pracowali, żeby po wypłacie mieli z czego oddać. O bezrobotnych mówiła krótko: darmozjady. Ci nie zasługiwali na jej zaufanie.

- Ludzie muszą pracować i zarabiać na siebie - mądrzyła się z za lady. I za wzór podawała wciąż zapracowanego mimo wieku ojca.

Gdy zmarł, posadziła na jego grobie akację. Chciała, by nawet po jego śmierci roje pszczoł brzęczały mu nad głową. Całą pasiekę oddała sąsiadowi, a on obiecał:

- Zawsze będziesz miała świeży miód. Odplączę ci za serce.

Dotrzymał słowa. W jej kredensie koło zegara z kukułką wciąż stały rzędami wielobarwne słoiki. Ciemne - to miód gryczany, białe - rzepakowy, złociste - lipowy. Dostawiła do tego rzędu jeszcze kolejne - słomkowe. Akacjowy.

„Kto by to wszystko zjadł?” - pomyślała.

Oplątani Mazurami

Zadzwoń } dzwonek. Erna wiedziała, że to on. Zawsze dzwonił w ten sposób. Krótko, energicznie. Wszedł do środka. Miał może pięćdziesiąt lat, był szczupły z lekkim garbem. To był pan Marian, spokojny wdowiec, rencista z kamienicy obok.

- Samochód już czeka, pani Erno.

Erna wyjęła ostrożnie kilkanaście słoików z kredensu, spakowała do dużej torby na kółkach. Pan Marian pomógł to staszczyć na dół. Wyjechali z podwórka.

Mrągowski rynecek. Puste miejsce tuż przy wejściu, obok stoiska z dresami i gumiakami, czekało na nią. Ludzie przyzwyczaili się już, że jak w każdy piątek ta starsza pani usiądzie tu na swoim składanym wędkarskim krzeselku. Jak co tydzień, przywiezie ją ten sam znajomy, pomoże rozstawić drewnianą skrzynkę, a na niej postawi wielobarwne słoiki. Od prawie białego, rzepakowego, po ten najciemniejszy, gryczany.

- O, ten miód to podgrzewany pewnie, skoro taki płynny. - Erna usłyszała nad sobą męski głos. Stał przed nią rozebrany prawie do rosołu brzuchaty turysta.

- To akacjowy, on zawsze zastyga najwolniej. Znam się na tym, mój ojciec miał pasiekę jeszcze przed wojną - zapewniła z uśmiechem.

- No, skoro pani to mówi, to tak musi być! - odpowiedział tamten, wyłuskując pieniądze za dwa słóiczki. Ludzie mieli do niej zaufanie. A może kupowali ten miód z litości? To nie było ważne.

Kiedy wróciła do domu, przeliczyła pieniądze. Odetchnęła z ulgą. Teraz na pewno jej wystarczy - na leki i butlę gazu. Może nawet odmaluje pokój? Marian jej pomoże, da mu za to kilka groszy. Może wino mu kupi na koniec, po robocie?

„Widzisz, mój tato, nie ma już ciebie, nie ma twojej pasieki, a ja i tak wciąż żyję z miodu” - roześmiała się lekko Erna.

W przyszłym miesiącu pan Marek obiecał jej przynieść kilka litrów wielokwiatowego, z nektaru wierzby, mniszka lekarskiego, maliny leśnej, lipy i chabra bławatka. To będzie wyjątkowe podsumowanie lata. Pani Erna ma już kupca na prawie wszystkie słóiczki. Oprócz jednego - ten zachowa dla siebie, na zimę.

^Bezdotyk

Spotkali się na jednej z mazurskich szutrowych dróg za Kozłowem. Przed nimi otwierał się las wysoki i dziwny, o ściółce grubej jak materac, z powtykanymi w nią drzewami. Las był podzielony na części, w jednej było więcej rozłożystych i ciemnych świerków, w drugiej - wysokie sosny z pachnącym złocistym igliwem u stóp, a dalej były olszyny i leszczyny, które już samymi nazwami szeleszczą, a co dopiero wyrastającym z gałęzi tysiącem liści!

On - uznany fotoreporter warszawskiego pisma, laureat nagród, autor całej kolekcji zdjęć przyrodniczych; potrafiący przez wiele godzin czuwać na bagnach w oczekiwaniu na przykład na wyskakujące do góry, agresywne w zaślepieniu godowym samczyki dubelta.

Ona - niemiecka dziennikarka, prawie na pamięć znająca 7pruskie rozdziały z biografii Marion Dönhoff, co roku przemierzająca mazurskie szlaki i tłumacząca sobie, że robi to tylko dla pieniędzy i zawodowo, a jednak coraz bardziej „omotana Mazurami”.

Nie znali pewnej pruskiej legendy o tym, jak rodzi się miłość do tej ziemi. Na olchowej łódeczce codziennie rano wypływa w swój bezszelestny rejs Królowa Jezior, nitkami babiego lata oplątująca ludzkie serca. Swoją miłość do Mazur tłumaczyli inaczej - artystyczną wrażliwością oraz pochodzeniem, gdyż dziadkowie obojga urodzili się właśnie tutaj i kto wie, czy w czasie wielkiej wojny nie spotkali się kiedyś jako przeciwnicy...

On, zagubiony w nieznanym mu wcześniej uczuciach, błądził pomiędzy swoją małą stabilizacją w stolicy, a marzeniami o tym, by pochwycić z życia jeszcze parę kropel, schłodzić nimi twarz i pozwolić im wyschnąć na słońcu. Niedawno skończył czterdzieści lat. Dla mężczyzny to czas przekraczania rubikonu i on też, jak tysiące jemu podobnych, czuł ów nieznosny imperatyw, by coś zmienić. Drogowskazy jego życia odwracały się, krajobrazy wspomnień w szybkim pędzie zapalały się i gasły, a On czepiał się wiary w nieuchronność ludzkich spotkań i przeznaczeń.

To pierwsze spojrzenie, którym podzielili się między sobą jak opłatkiem, było początkiem dziwnej jak tamten las znajomości. Najpierw On zagadnął, co Ona tu robi, a Ona odpowiedziała mu łamanym polskim, że próbuje zilustrować swój reportaż o dawnym mieszkańcu Kozłowa - przed wojną Koslau. Ten mieszkaniec nazywał się Sumiński i mieszkał kiedyś na skraju lasu; po jego domu zostały pod lasem kamienne fundamenty.

A potem Ona zapytała, dlaczego On właśnie w tutejszy las mierzy obiektywem wielkim jak teleskop?

Wzajemnie opowiedzieli sobie swoje krótkie historie, Las słuchał ich uważnie, szumiąc w przecuciu, że oto w życiu tych dwojga wydarzy się coś ważnego. Bo Las wciąż pamiętał, że mimo upływu lat dzieją się na tej ziemi rzeczy niezwykle i piękne. Jak wtedy...

To było jeszcze przed wojną. Młody Sumiński jechał przez Las furmanką do matki, która mieszkała niedaleko, w Ganthen. Drogą szła miedzianowłosa kobieta w czerwonej sukience. Zatrzymał się. Spojrzał w jej brązowe oczy. Zobaczył twarz usianą cętkami lata i usta lekko różowe, zgięte w łuk uśmiechu. Zakochał się od razu, bo taka miłość od pierwszego spojrzenia jest przecież możliwa. Kobieta została jego żoną.

Codziennie patrzył w jej oczy i wdychał ulotny zapach ziół, którymi płukała włosy, by błyszczały w słońcu rdzawo i złociście. Dotykał jej ciała i patrzył, jak oddawała mu je chętnie i lekko, jakby zaplatała warkocze. Codziennie też dziwił się, że można tak kochać kobietę, i upewniał się w wierze w przeznaczenie.

Tak było aż do tamtej dramatycznej chwili, gdy kula w pistolecie rosyjskiego żołnierza nagle wystrzeliła, bezlitosną trajektorią lotu mierząc w szczupłe plecy kobiety...

Dlaczego Las tego nie przewidział? Dlaczego nie uchronił silnym konarem kobiety, która tak kochała i Las, i swojego męża?

Teraz mógł kochać tylko pamięć o niej. Nosił więc ją w snach i myślach, jak magiczny amulet. Kochał, choć już jej nie było...

Marion Donhoff, pruska hrabianka, pisała o mazurskim krajobrazie, że jest ważniejszy niż wszystko inne. W ostatecznym i istotniejszym rozumieniu nie jest on zresztą niczyją

własnością, a jeśli już do kogoś należy, to do tego, kto potrafi kochać, nie posiadając... Czy jednak przeczuwała, że taka miłość bez posiadania może zdarzyć się również ludziom, którzy spotkają się na tej ziemi?

Dziennikarka i fotograf rozmawiali ze sobą jeszcze kilka razy, porównując swoje przyrodnicze i historyczne inspiracje, a tak naprawdę szukając siebie. Odkrywali w swoich słowach i gestach coś wspólnego, co musiało połączyć ich jeszcze przed wiekami. Nie umieli tego nazwać, ale Las już to wiedział.

Bo szumiał tak samo w momentach ich narodzin, oddzielonych od siebie o dwa lata i dwanaście dni. Towarzyszyła temu obecność tych samych planet. Wenus w Baranie, Merkury w Wodniku, Uran w Wadze - szeptałyby konstelacje, gdyby szeptać umiały.

Czas podzielił tę duchową jedność na dwa ciała i rozrzucił je po świecie - i kiedyś musieli się znaleźć.

A potem każde z nich, pełne przeczuć o nieprzypadkowości, pojechało w stronę swego życia, w którym ktoś na nich czekał. Został tylko ten dziwny Las za Kozłowem, szumiący starą historię o Sumińskim, bo przecież gdyby nie on, nie spotkaliby się nigdy.

Ona mówiła czasem do Niego listami, które słała o różnych porach dnia. Słowa kapąły z niej jak deszcz z parasola, pod którym czasem chodziła uliczkami niemieckiego miasteczka, by ochłodzić żar myśli i wykapać świat w literach. Układała całe zdania i ich równoważniki, nadawała nowe znaczenia temu, co widziała. Chciała nanizać chwile na majuskuły i minuskuły liter. Od nieciekawych kropek, stawianych z nagłą i nieodwołalnie, tysiąc razy bardziej wołała przecinki, które niosły ciekawość życia, jego nieobliczalność i nieprzewidywalność. Tej interpunkcyjnej metafory użyła w swoim liście do Niego, jako wymyślonego szyfru znaczeń.

On zrozumiał ten szyfr, co znaczyło, że mówią jednym językiem, tylko ktoś zmieszał ich w tym tłumie ludzkim zwanym wieżą Babel. Rzuceni jak kości do gry turlali się przez życie bezwładnie, stawiając kropki i przecinki, adekwatne do rzeczywistości, pamiętając i zapominając, śmiejąc się i płacząc, wyczekując i będąc wyczekiwanymi. W owej nieprzewidywalności zdarzeń był jednak dziwny porządek rzeczy, bo każdy moment następował po sobie i niczym klocki domina przewracał się, dając początek nowemu. Przedwojenna historia tamtej miłości zaowocowała niechybnym spotkaniem tych dwojga.

Wiedzieli już, że głównym kluczem do ich serca staną się teraz ich myśli, takie same, bliźniacze, spotykające się pod tym dziwnym Księżycem, który popycha morza nieznaną siłą, powodując przyplawy.

Byli skazani na bezdotyk. On nie poczuł miękkości jej włosów, Ona nie poczuła szorstkości jego twarzy. Czas na chwilę tylko połączył ich na ścieżce życia. A potem zostały myśli. To one są prawdziwie wolne. Oboje o tym wiedzieli, gdy wysyłali je w niebo jak jaskółki, by spotkały się gdzieś w połowie drogi.

Nie dane im było dzielić ze sobą codzienności, która mo-7 głąby przecież kiedyś zszarzeć i wyblaknąć. Nie dane im było dzielić wspólnej przestrzeni i gdyby nie to, że połączyła ich metafizyka, pewnie ubolewaliby nad tam tak zwyczajnie, po ludzku. Ale dane im było za to co innego. Mogli zostawiać swoje ślady na ścieżkach wyobraźni. Ukryci pod naskórkiem rzeczywistości, bezdotykowo oswajali swoje przecucia. Od tej chwili ich sny i słowa będą zaplatać się jak niewidoczne warkocze.

Babie lato na Mazurach niezauważalnie przeszło w srogą zimę. Królowa Jezior nie pływała już w olchowej łódce, a drzemała w Wierzbie, która stała tu od wielu lat, schylona w pokłonie do ziemi. Wyglądała, jakby wyrosła z ukrytych w trawie resztek fundamentów. To właśnie na nich stał niegdyś dom starego Sumińskiego. Gdy jeszcze w nim mieszkał, mówił o Wierzbie, że to jego nieżyjąca żona, zaklęta na drugie życie w drzewo.

W latach sześćdziesiątych dom spłonął, rażony piorunem. Stary Sumiński musiał więc zostawić swoje Drzewo i przeprowadził się do domu matki, do wsi, która po polsku nazywała się Ganty. Cztery lata temu jakaś zbłąkana siła letniej burzy dopadła i samotną Wierzbę. Ludzie we wsi mówili, że piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce, ale żywioły nie zawsze są posłuszne ludowym mądrościom. Dobrze, że stary Sumiński już tego nie dożył...

CMiłość z prawej strony

Miał serce z prawej strony. Podczas bilansu sześciolatka zauważyła to badająca go lekarka i nazwała to dekstrokardią. Matka, gdy usłyszała, że serce jej syna jest lustrzanym odbiciem serca u większości ludzi, najpierw przeraziła się, a potem obróciła to wszystko w żart:

- Ma serce z prawej strony, będzie więc kochał prawdziwie.

- Dlaczego ją tam zawiozłeś? - ostrze powtarzanego wciąż pytania wbijało się w jego mózg, serce, myśli przywiędłe zmęczeniem. Liczne zakręty mijanych po drodze wsi nie ułatwiały podróży. Gdyby droga była prosta, nacisnęłyby pedał gazu i rosnącym poziomem adrenaliny we krwi rozpedziłby dziwny stan ducha. Wciąż jednak musiał redukować biegi, manewrować kierownicą i uważać na nadjeżdżających z naprzeciwka.

- Adam, jaki ty jesteś głupi. Dupek. Naiwniak. Ty myślisz, że ona cię kocha? - Siedzący obok przyjaciół spojrzał na niego.

Mężczyzna zacisnął palce na kierownicy. Zbielałe końcówki drżały, wygięte nienaturalnie, jakby miały za chwilę połamać się.

- Przepraszam cię, Janusz, że to powiem, ale odchrzań się. To moje życie.

Po tych słowach zapadła cisza, przerywana klikaniem kierunkowskazów i cichym szumem silnika.

Zawiózł ją tam, na ich wspólne Mazury. No i co z tego? Może naprawdę tym razem chciała pomyśleć, poczuć samotność, jakiej jej ostatnio brakowało? Ma tyle pracy. Ciągłe redakcje czyichś książek. Nawet nie ma czasu napisać swojej. Może właśnie teraz zrobi notatki? Może zainspiruje ją szarość porannych mgieł znad jeziora, sarny podchodzące pod furtkę, szpaki opadające na ziemię czarną szarańczę.

Może tak dokuczy jej samotność, że w sercu zatli się jeszcze jakieś ciepło do niego?

Czy ona jeszcze to potrafi?

Kupili ten dom w Kosewie, bo oboje kochali mazurską ziemię. Miłość zaczęła się niewinnie, wręcz banalnie - od studenckiego spływu Krutynią. Przypadł im wspólny kajak, Helena była wtedy taka nieśmiała. Na rzęsach perliły się jej krople wody, którymi splukiwała zmęczoną letnim żarem twarz. Była ładna, po prostu. Nie piękna, a właśnie ładna. Niewysoka, ze szczupłą talią, szerokimi biodrami. Pociągała go już wtedy. Musiał na nią czekać dwa lata - dopiero po studiach pozwoliła mu zbliżyć się do siebie. Cekał na swoją kolej - Helena miała narzeczonego. Odeszła od niego, gdy któregoś dnia zwróciła mu uwagę, że rzadko daje jej kwiaty, a on wywiózł ją wtedy za miasto, wbiegł z furią w krzaki bzu, nałamał gałęzi z fioletowymi kwiatami i wcisnął jej w ramiona, drapiąc twarz i szyję.

- Chciałaś kwiaty, to masz!

Przestraszyła się jego porywczosci, która z czasem mogła doprowadzić do rękoczynów...

Adama spotkała przypadkowo w toruńskiej bibliotece. Poszli razem na Szeroką, wspominając krutyński spływ. A potem do niego.

Ach, jak smakowało mu wówczas jej ciało!

Ślub wzięli już po studiach.

Helena... Na samą myśl o niej wciąż robi mu się ciepło. Odczuwa mrowienie w okolicy podbrzusza, musi więc szybko pozbyć się myśli o niej. Może po prostu przeprosi Janusza za to „odchrzań się”?

- Przepraszam, stary. Nie gniewaj się.

- Co? - zapytał nieprzytomnie przyjaciel.

Wcale się nie gniewał. Drzemał z głową na szybie.

Stacja benzynowa. Pewnie mają tu jakąś kawę. Musi się napić, bo za chwilę zaśnie. Minęli już Spychowo, Mazury kończą się, zatem drogi prostują. Nie nadrobi jednak straconego na zakrętach czasu, bo ruch dziś wyjątkowy. Ludzie jadą na miodobranie do Myszyńca.

Zamyślił się. Nie nadrobi straconego czasu również w życiu. Czyjego związek z Heleną ma sens? Czy warto dobijać się o jej miłość i być niczym głupia ćma walcząca o ciepło żarówki? Od dawna byli oddzielni.

Po co to wszystko? Czy warto? Heleno... A może jest tak, jak mówisz - nie po drodze nam ze sobą? Wszystko jest nie w porę - śmiech, kłótnia, seks. Wszystko nie tak, jak powinno być...

- Nie potrafię żyć bez niej, rozumiesz? - odwrócił twarz w stronę Janusza, który właśnie przecierał oczy, by dostrzec, jaką miejscowość mijają.

- I dlatego tak się ponizasza? Chłopie, masz chyba jakiś honor?

- Nie rozumiesz.

- Masz rację. Niczego nie rozumiem. Okej. Jestem głupi.

- To nie tak.

- A jak, Adam, jak?

- Ona... Nie umiem bez niej.

- Jesteś dupkiem.

Rozmowa prowadziła donikąd. Mimo że Janusz to przyjaciel, nie potrafi zrozumieć, że można kogoś kochać tak głupio, bezradnie. Samotnie.

Dylewo. Kiedyś stała tu lepperowska blokada. Wiózł Helenę do Warszawy, na rozmowę kwalifikacyjną. Spóźniła się, bo brony i ciągniki na drodze nie pozwalały na przejazd. Oboje jednak śmiali się z tego.

- Przynajmniej będę dłużej z tobą - zbagatelizowała.

Pracę i tak dostała. W redakcji pisma poligraficznego. On już wtedy pracował w Warszawie, w firmie leasingowej. Nic ciekawego, ale nieźle zarabiał. Mogli pozwolić sobie na spełnianie marzeń Heleny. Ona była dla niego ważniejsza, niż jego własne ambicje.

Gdy kochał się z nią... Miętkość jej ciała wciąż go dziwiła. Znał przecież kobiety, kiedyś nie stronił od nich, ale żadna z nich nie miała tak gładkiej skóry jak Helena.

- Jesteś z aksamitu - szeptał, całując jej piersi, a ona przygarniała jego głowę do siebie, zamykając w akwedukcie ramion.

Przeczytał w mądrym piśmie popularnonaukowym, że mężczyźni mają w mózgu obszar, zwany w tłumaczonym na polski żargonie „obrona swój trawniczek”. To nic innego,

jak ludzka wersja instynktu terytorialnego, który jest u mężczyzn zdecydowanie większy niż u kobiet. Autor zakończył swoje wywody konstatacją, że to dlatego mężczyzna jest zdolny do agresywnych zachowań, gdy ktoś zbliża się do jego kobiety.

A zatem... może on nie jest prawdziwym mężczyzną?

Jakaś kobieta w stroju kurpiowskim, usadowiona dużymi pośladkami na siodełku starego roweru, nagle wjechała na drogę. Marek zahamował, zatrąbił ostrzegawczo.

- Kurpianki na rowerach to znak, że Myszyniec - roześmiał się Janusz.

Chyba lepiej się śmiać. Ablucja śmiechem jest zbawcza.

Śmiali się więc obaj, mijając kobietę. Pomachali do niej. Przestraszona dziwnym zachowaniem, zbyła ich srogim wyrazem twarzy i uciekającym wzrokiem.

- Słuchaj. Dlaczego to robisz? To już trwa tyle lat... - zapytał nagle Janusz, gdy śmiech w nich ostygł.

- Nie wiem...

- Przecież wiadomo, że jutro, a może nawet dziś... Może już tam był...

Dlaczego Janusz nie może po prostu zrozumieć, że tak jest mu dobrze? Że godzi się na to? Przecież jest przyjacielem...

Dwa dni wcześniej pokłócił się z Heleną o jakiś drobiazg. Nie pamiętał już o co. Padło wiele przykrych słów. Ona wybiegła i wróciła przed północą. Pachniała wiatrem i dziwnym duszącym zapachem. To nie był zapach jej perfum. Wiedział już, że uciekła od niego, by komuś wyskarżyć swą pobladłą miłość.

Wiedział, a jednak nie zadawał pytań. Nigdy.

Albo wtedy, gdy wyjechał służbowo.

Dzwonił do niej nieustannie, ale miała wyłączoną komórkę. Tłumaczyła mu potem, że wyładowała się bateria.

W oczach miała blask.

Nie mógł zapytać. Bał się prawdy.

- I co, wciąż ją będziesz woził na te Mazury?

- Jeśli będzie tego chciała...

Pułtusk. Na rondzie za dworcem jak zwykle korek. Dom coraz bliżej. Samotna butelka wódki, wypita przy dźwięku piosenek, które kiedyś oboje lubili. Oto plan na wieczór.

Żeby tylko zabić myśli. Żeby nie wyobrażać sobie, że kiedy on pije wódkę, ona jest z tamtym.

Nabrał powietrza w płuca. Wyobraźnia podsuwała mu bolesne obrazy. Odwrócił twarz, spojrzał na Janusza.

- Kocham ją zbyt mocno. Kocham ją tak, że godzę się na to, by dotykał ją inny mężczyzna - powiedział wreszcie, patrząc w oczy przyjacielowi.

Tamten popukał się w czoło. Nie wiedział przecież, że Adam ma serce z prawej strony...

‘Druga świeczka

Kłębowisko chmur, w których skryła się Barcelona... Kłębowisko myśli, które zajmowały Klarę przez cały miniony tydzień... Czuła, że cała jest jakimś kłębkim: myśli, wyznań, dotyku. Z czułością i spokojem zapadła w lotniczy fotel, włożyła w uszy słuchawki swojej empeczwórki i włączyła muzykę. Artysta zaśpiewał po polsku. Wciąż czuła na swoich policzkach zapach mężczyzny, który pożegnał ją na barcelońskim lotnisku.

Przypomniała się jej wysadzana platanami promenada - Ramblas. Ludzka rzeka, przepływająca brukowanymi uliczkami, obserwowana z kawiarnianych stolików. Nieruchomy mim z domalowanymi łzami, a mimo to uśmiechnięty. Kuglarze i taniec z ogniem, efektowny nocą. I Łukasz, który oświadczył się jej podczas kolacji w jednej z barcelońskich restauracji. Potem zjedli tamtejszy przysmak - anguillas, czyli młode węgorzyki duszone z czosnkiem, które wyglądały jak porcja makaronu sojowego.

Klara dotknęła pierścionka. Poczowała pod palcem mały brylancik. Najlepsza wróżba na miłość. Największa piramida blasku. Wierzyła, że przy takim symbolu ich szczęście będzie trwać wiecznie.

Obok niej siedział jakiś pasażer. Spojrzała na niego bez większego zainteresowania. Jej myśli były przy Łukaszu. Wspominała swoje palce w jego włosach. Jego pocałunki w zagięciu jej ramion. Szelest nocy spędzonych w niewielkim barcelońskim mieszkaniu.

Łukasz mieszkał w nim od dwóch lat. Był lekarzem, znał hiszpański i kataloński. Miał tu rodzinę, więc łatwiej mu było zdobyć pozycję i pieniądze. Teraz zdecydował, że czas na założenie rodziny.

Z Klarą był od pięciu lat. Nie wyobrażał sobie życia bez niej, a każde rozstanie niosło wielką tęsknotę. Jak dobrze było mieć tę kobietę obok siebie, budzić ją łaskotaniem rudych włosów, zgarniętych z poduszki. Czuć zapach snu i miłości.

Klara przyjeżdżała do niego, gdy tylko udało się jej wygospodarować trochę wolnego czasu. Była dentystką w małym mieście na Mazurach. Jej pacjenci lubili ją, choć miała tak niewdzięczną profesję. Wieczorami pisała wiersze.

Jej trzydzieści siedem lat zaszufładowało ją w prowincjonalnej społeczności. Bywało, że ludzie mówili na nią: to ta dentystka, panienska w średnim wieku...

Już wkrótce to się zmieni. Jest zakochana na całe życie. I wraca z Barcelony jako narzeczona!

Współpasażer poruszył się w fotelu. Z brązowej skórzanej torby wyciągnął książkę polskiego autora. Zatem jest Polakiem. Spojrzała na jego szorstką twarz i ciemne, nieco zmęczone oczy. Był lekko wczorajszy, albo na skutek nocnej imprezy, albo... Może po prostu miał za sobą ciężki tydzień?

Na pewno wkrótce wypocznie. Jest czwartek, dziesiąty grudnia. Jutro zaczyna się weekend.

Samolot bezszelestnie przecinał gęstniejące coraz bardziej chmury.

Klara zamknęła oczy. Muzyka przepłynęła przez ciało jak lekki prąd. Miała ją w końcach palców, które uderzały rytmicznie w podłokietnik.

Poczuła na sobie wzrok sąsiada.

- Czego pani słucha?

Lekko rozkojarzona wyciągnęła z ucha słuchawkę. Podała mężczyźnie. Przyłożył do ucha.

- Nie znam, ale bardzo mi się podoba. - Usłyszała po dłuższej chwili. Pomyślała nawet coś o podobnej wrażliwości.

Po chwili podeszła do nich stewardessa. Piękna, błękitnooka Emilia Marlena Szymańska, o czym informowała przypięta do piersi tabliczka. Kobieta z gracją podała poczęstunek, zagadnęła o wrażenia z lotu. Klarze zrobiło się przyjemnie.

Potem ta sama Emilia wprowadziła swoim ciepłym głosem lekki zamęt u wszystkich pasażerów:

- Proszę państwa, z powodu złych warunków atmosferycznych zmuszeni jesteśmy polecieć do Monachium. W Monachium wylądujemy za godzinę. Dalsze informacje podam państwu po wylądowaniu. Przykro mi z powodu zaistniałych niedogodności.

Cisza. Po chwili rozległy się nerwowe głosy.

- Ach, to niemożliwe. Muszę być w piątek w Warszawie! - jęknął sąsiad Klary.

- Może uda nam się jakoś tam dostać, niech pan się nie denerwuje. Ja też mam kilka ważnych spotkań, powinnam być na miejscu. Bądźmy dobrej myśli - pocieszyła go.

- Ale... To dla mnie bardzo ważne!

- Wszyscy mamy coś ważnego. Nie denerwujmy się na zapas.

Samolot wylądował w Monachium. Stewardessa spokojnym rzeczowym tonem poinformowała ponownie o niesprzyjających warunkach pogodowych. Gęsta grudniowa mgła

miała utrzymać się, według prognoz, dzień lub dwa. Przewoźnik opłaci pasażerom hotele. Dalszy lot nie jest możliwy.

Zamieszanie wywołane międzyrządowaniem wciąż trwało, ludzie szukali innych połączeń z Warszawą, dzwoniли do bliskich, informując o zmianie planów. Na zmęczonych twarzach widać było złość i zawód. Gęsta jak mleko mgła przerwała podróż do tych zostawionych daleko ludzkich spraw.

- No to pięknie... - Sąsiad Klary wciąż był obok niej. Pomagał w wynoszeniu bagażu, zagadywał; wyraźnie potrzebował towarzystwa.

- Mam na imię Joachim, a pani? - dodał.

- Klara. Mówmy sobie po imieniu.

Dopiero teraz zauważyła, że mężczyzna ma uważne, silne spojrzenie, nawet nieco demoniczne. Był na pewno po czterdziestce, lekko już łysiał. To jednak dodawało mu tylko uroku. Klara nazwała to patyną męskości.

- Te ważne sprawy w Warszawie to pewnie jakiś biznes?

- Niezupełnie. Też, ale... chciałem wrócić do domu również z innego powodu.

- Rozumiem...

Hotel nie był najwyższej kategorii, ale dobrze, że w ogóle był. Z kluczami od pokoi i bagażem rozeszli się w różne strony.

- Klara! - zawołał nagle Joachim, gdy była już na końcu korytarza. Odwróciła głowę.

Podbiegł do niej i zaproponował kolację w hotelowej restauracji. Za pół godziny. Muszą przecież jakoś uprzyjemnić sobie tę przerwana podróż.

W lokalu cicho grała muzyka. Ona patrzyła mu w oczy, w których odbijał się płomień świecy; zwielokrotniony - dodawał blasku twarzy. Teraz, gdy Joachim ogolił się i odświeżył, wyglądał naprawdę niezwykle.

On wpatrywał się w złotą aureolę jej skręconych w pierścionki włosów, lśniących w blasku ciepłego światła. Jego babka Estera miała takie włosy.

Ona miała wrażenie, że jej serce zaniepokoiło się. Karmiła je na przekór myślami o Łukaszu.

On pomyślał, że nigdy nie spotkał tak pięknej kobiety, która na dodatek słuchałaby go z takim wdziękiem i uwagą. Jego żona Lena robiła to raczej połowicznie, jakby w międzyczasie.

Gdy Klara schyliła się, by podnieść chusteczkę, musnęła lekko włosami jego dłoń. Poczł lekkie mrowienie. Miał wrażenie, że ógniste pasmo poparzyło jego palce.

Pachniała białym piżmem zmieszany z nutą irysa i cedru, gdy kładł ją na jasną pościel w swoim pokoju hotelowym. Pomiędzy jej piersiami zauważył maleńki pieprzyk. Pocałował go czule, jakby tam spała jej dusza...

Rozpędzali swoją przypadkową samotność wspólnymi oddechami i jednakim rytmem serca. Nie zastanawiali się nad tym, dlaczego to robią. Połączyła ich metafizyka podróży; tego nieuchronnego spotkania dwojga ludzi, zagubionych na hałaśliwym lotnisku życia.

Piątek jedenastego grudnia przywitał ich mgłą. Klara obudziła się w nie swoim pokoju, przy obcym mężczyźnie. Poczula lekkie wyrzuty sumienia, a jednak nie potrafiła oprzeć się pocałunkom.

Zwiedzili miasto, wypili kawę w monachijskiej kawiarni. Wciąż rozmawiali. On o swoim wyjeździe do Barcelony, gdzie jego firma miała przedstawicielstwo. Ona o tym, że kobiety są odważniejsze podczas wizyt u dentysty i że kocha życie na mazurskiej prowincji. Omijali temat swoich związków. Powiedzieli sobie tylko, że ktoś na nich czeka. Narzeczony i żona.

Ona czuła lekki szum w głowie. Może to przez nieprzypadkowość spotkań?

On wyobrażał sobie, że to z nią właśnie spędza swoją codzienność.

Po obiedzie wrócili do hotelu. Klara poszła do pokoju, by wysłać maila do Łukasza. Joachim rozstawił na parapecie dziewięć kupionych w sklepie świeczek i o godzinie piętnastej dwadzieścia najpierw zapalił jedną pośrodku, a potem drugą, tę z lewej strony. Wszeptał cicho:

- Błogosławiony jesteś Ty, Haszem, nasz Bóg, Król Świata, który uświęcił nas swoimi przykazaniami i nakazał nam zapalać światła chanukowe.

Nagle usłyszał pukanie do drzwi.

To była Klara. Napisała już do Łukasza i poczuła się samotna.

- Co robisz? - zapytała zdziwiona, widząc zapalone świece.

Wyjaśnił jej, że właśnie dziś zaczęła się żydowska Chanuka i że niektórzy porównują to święto do chrześcijańskiego Bożego Narodzenia.

- Dzieci otrzymują prezenty, na przykład bączki chanukowe, czyli drejdle, a cała rodzina przez osiem dni wspomina wyczyn Machabeuszy, którzy oczyścili Świątynię Jerozolimską z bezczeszczących ją posągów greckich bóstw. To jedno z moich ulubionych świąt, zwane Świętem Ognia, które nie może obyć się bez tradycyjnych placków ziemniaczanych. Miałem być dziś w Warszawie, by w ten mistyczny sposób łączyć się z moimi przyjaciółmi z Centrum Społeczności Żydowskiej w Krakowie.

- Zatem jesteś Żydem... - stwierdziła bardziej, niż zapytała.

- Tak, moja babka Estera była Żydówką. Nie trzymam się kurczowo tradycji, judaizm pojmuję bardziej liberalnie i po swojemu. Ale Chanuka jest dla mnie bardzo ważna. To czas pięknych wspomnień, zwłaszcza z dzieciństwa.

- Czego zatem życzy się w Chanukę?

- Światła. Po prostu: świetlistej Chanuki.

- Zatem świetlistej Chanuki, Joachimie.

- Świetlistej Chanuki, Klaro.

* Spojrzała na tego mężczyznę i zobaczyła w jego oczach Światło. Nie sądziła, że życzenie tak szybko się spełni...

Spędziła z nim jeszcze jeden dzień Chanuki, patrzyła, jak w sobotę o osiemnastej zapala dwie świece. Pomyślała, że oto obchodzi swoje własne narodzenie, choć to chrześcijańskie, zwane Bożym, jest dopiero za trzysta dni.

Joachim w blasku drugiej chanukowej świecy dotknął jej twarzy. Pocałował lekko rozchylone usta.

- Pomiędzy półcień twego cienia wkrada się półton moich oczu... Zakochałem się w tobie, Klaro - wyszeptał.

W jego ciepły palec jak w bibułę wsiąkała jej łza.

W niedzielę opadła mgła i ciężki samolot uniósł ich do góry. Klara patrzyła na Joachima i zegnała go w myślach. Za chwilę wrócą do swoich światów, w których tlić się będą ich uczucia - jak dwie chanukowe świece. Czy jeszcze kiedyś dane im będzie spędzić wspólnie Święto Ognia?

Rozstali się dopiero na Dworcu Centralnym. Joachim pojechał tam z nią, pomógł włożyć bagaż do przedziału.

Pociąg na Mazury odjeżdżał za pięć minut. Jeszcze tylko trzysta sekund pocałunków i pożegnań.

Oboje woleli, aby te sekundy zmieniły się w lata...

Ale nawet chanukowe życzenia nie mogły doprowadzić do takiej transformacji czasu.

Już z domu Klara wysłała Joachimowi maila:

Rudy kasztan mego serca rozłupany Tobą upadł na ziemię. Podnieś go i schowaj na szczęście wielorakie...

Przeczytał te słowa w momencie, gdy w drzwiach mieszkania stanęła wracająca z katolickiej mszy żona. Obchodziła właśnie kolejną niedzielę Adwentu. W kościele kupiła świecę, którą postawi na ich wspólny wigilijny stół. Ubierze choinkę w kolorowe bombki. W oknach zawiesi stroiki.

Nie uznawała żydowskiej Chanuki. Jej zdaniem, to święto było mało barwne, nudne i niezrozumiałe. Boże Narodzenie to co innego!

Przez moment miała wrażenie, że w oczach Joachima płonie dziwny ogień.

Tego dnia o osiemnastej zapalił na dziewięcioramiennym świeczniku trzecią świecę chanukową, a jego krakowscy przyjaciele zrobili to samo, wspólnie z Naczelnym Rabinem Polski, Michaelem Schudrichem. Wszyscy rozumieli symbolikę tych świąt - rzeczy niemożliwe mogą się zdarzyć i dlatego zawsze trzeba starać się osiągnąć to, co nieosiągalne.

Pod cichym grudniowym niebem był ktoś jeszcze, kto dzielił z nimi Święto Jasności. To Klara, która nad ogniem wyznawała wszechświatowi swoje marzenia.

Świetlistej Chanuki, Joachimie...

Sieć

Połączył ich wspólny projekt. Takie modne teraz słowo. „Projekt” - to brzmi mądrze. O wiele mądrzej niż pomysł, inicjatywa lub koncept. Pomysł brzmi banalnie, inicjatywa - trąci czynem społecznym, a koncept - to takie przestarzałe!

Zatem - niech będzie projekt. Europejsko i z duchem czasu.

Elżbieta wcale nie chciała iść z duchem czasu. Jako nauczycielka historii w tutejszej szkole podstawowej wołała zarażać swoich uczniów przeszłością, zwłaszcza historią miasta nad Czosem, leżącego wzdłuż kamiennego bruku, przy którym kwitły frontony kamienic w różnych stylach. Te secesyjne uspokajały owalem kształtów i kwiatowymi motywami. Modernistyczne były proste i niemal ascetyczne. Neoklasycystyczne dawały poczucie bezpieczeństwa, z tą ich przedwojenną elegancją.

Przeszłość tego miasta od zawsze fascynowała Elżbietę. Ach, żeby móc poznać dawnych mieszkańców! Żeby na chwilę cofnąć czas i przenieść się w tamten świat kobiet w długich niedzielnych sukniach z żabotami, mężczyzn powożących furmankami, usłyszeć wrzawę na żydowskim rynku...

Czasem, gdy chodziła uliczkami swojego miasta, wydawało * się jej, że widzi tamten czas, wręcz potyka się o niego.

Zalogowała się do swojej poczty. Od paru dni czekała na odpowiedź z pewnej fundacji w sprawie złożonego wniosku. Chciała wydać zbiór legend ziemi mrągowskiej. Jedną z nich miała być stara pruska opowieść o Olbrzymce, której pękł sznur koralu, a z rozsypanych paciorków powstały mazurskie jeziora.

Elżbieta zbierała te legendy przez kilka miesięcy. Mirek, polonista, obiecał, że je zredaguje. Oboje żyli więc tym projektem - jak nazywali swój pomysł.

Miała trzy nowe wiadomości. Dwie z nich to oferty internetowych księgarń. Trzecia miała w adresie nieznanego nadawcę.

Dzień dobry! Jestem znajomym Mirka, Pani kolegi z pracy. Pisał mi o waszym zainteresowaniu przeszłością ziemi mrągowskiej i wspólnym projekcie, który zamierzacie realizować. Interesuję się waszym miastem, choć mieszkam w dalekiej Muszynie. Niedawno moja matka powiedziała mi, że nasza daleka ciotka przed wojną mieszkała w Sensburgu, czyli przedwojennym Mrągowie. Opowiadałem o tym Mirkowi, ale nie umiał mi nic więcej powiedzieć na jej temat. Więc może Pani... Może mógłbym prosić o pomoc w odkryciu choć części pruskiej historii mojej rodziny? Z poważaniem, Adam.

Elżbieta zamyśliła się. Ludzkie losy rozpierchnięte bolesną historią wciąż chcą wracać do swoich korzeni, do punktu wyjścia. Wiedziała, że musi na ten mail odpowiedzieć.

Panie Adamie! Z wielką przyjemnością pomogę, muszę jednak znać Pana lub ciotki nazwisko. Pozdrawiam, Elżbieta.

Enter. Odpowiedź powędrowała daleko, do Muszyny. Na drugim końcu Polski. Internet. Magiczna więź tajemniczej technologii, wymyślonej w latach sześćdziesiątych przez amerykańskich naukowców, badających możliwości dowodzenia i łączności podczas ewentualnej wojny nuklearnej.

Tego samego wieczoru w jej skrzynce była już odpowiedź od Adama z Muszyny.

Pani Elżbieto! Dziękuję za list. Przepraszam, że się nie przedstawiłem! Nazywam się Adam Timnik.

I Elżbieta, widząc to nazwisko, przypomniała sobie nagle dziwną, zapomnianą już historię tych, którzy je nosili.

Otworzyła album z przedwojennymi pocztówkami Mrągowa. Rynek. Kamienice skupione przy ratuszu. Na jednej z nich bocianie gniazdo. To był tak zwany „dom bociani”. Aż dziwne, że po tych pięknych budynkach nie został żaden ślad, podczas gdy inne wciąż stoją! Teraz zaczyna się tu deptak prowadzący na mrągowskie moło.

Ale na tej pocztówce kamienice wciąż jeszcze są. W jednej z nich mieścił się sklep. Nad wejściem widać wyraźny szyld z nazwiskiem właściciela sklepu. Gustaw Timnik.

Kolejna pocztówka i uwieczniony na niej kolejny budynek, którego już nie ma. Znajome nazwisko na szyldzie. Gustaw Timnik. Dziś w tym miejscu stoi biurowiec i sklep z telewizorami.

Czy dlatego, że Timnik był bogatym kupcem, historia tak boleśnie odegrała się na jego kamienicach? Nie przetrwał tak samo jak pamięć o tym, co ich właściciele zrobili dla miasta.

Gdy bogaty kupiec Gustaw zmarł, na świecie pozostała wdowa po nim, Justyna. Nie mieli dzieci, a ich dom przy ulicy Królewieckiej nagle opustoszał. Do serca wdowy zakradł się lęk przed przemijaniem. Co będzie z naszymi dobrami? Czy dalsi spadkobiercy je docenią? Czy może przeznaczyć wszystko na szczytny cel? Biła się z myślami. I postanowiła, że nie pozwoli, by po jej śmierci krewni walczyli o to, czego przez całe lata dorobili się z Gustawem. Spotkała się z rabinem i księdzem katolickim. Powiedziała o swoim pomysle. Była właścicielką dużego placu, na którym stał jej dom, oraz ziemi u podnóża wieży Bismarcka. Od tej ziemi zaczęła. Podzieliła ją na dwie części. Jedną przepisała Gminie żydowskiej, drugą - Kościołowi katolickiemu. Powstały tam cmentarze wyznaniowe.

Swój dom na Królewieckiej i rozległy teren wokół zapisała katolikom. Poprosiła tylko o to, by po śmierci pochować ją na tym nowym cmentarzu, w ziemi, która należała do niej za życia. Chciała mieć godny pomnik i zostać w pamięci pokoleń jako fundatorka.

Odeszła ufna, że pamięć o niej przetrwa. Tymczasem przetrwało tylko jej nazwisko. Bez zasług i poświęcenia.

W jej domu na Królewieckiej mieści się dziś kancelaria parafialna. Obok stanął kościół Św. Wojciecha. Żydzi chowani byli na kirkucie obok katolickiego cmentarza. Niemcy zniszczyli ten kirkut, wysadzając w powietrze macewy, czyli płyty nagrobne. Te, które ocalały, posłużyły jako materiał budulcowy na domy i schody. Pamięć o cmentarzu stopniowo wygasa, a na jego miejscu zbudowana została pralnia.

Dziś mało kto pamięta również o tym, co zrobiła dla miasta Justyna Timnik. Nie wiadomo, gdzie została pochowana. Już po wojnie jednej z podmrażowskich miejscowości nadano nazwę Tymnikowo.

Elżbieta opisała to wszystko Adamowi. Tylko... czy w ten sposób uda się ocalić od zapomnienia ważne dla Mrągowa miejsca? A może... Nie legendy powinna ocalać, a właśnie prawdziwe historie, spisywane z pieczołowitością kronikarza, poparte spotkaniami z potomkami tych, którzy kiedyś tworzyli tamten świat?

I oto wpadł jej do głowy pomysł na nowy projekt. Napisała o nim Adamowi. Przyjechał do Mrągowa, zachęcony historią swojej rodziny. Spotkali się na mrągowskim deptaku, w miejscu, gdzie przed wojną stała kamienica Gustawa Timnika.

Adam zapamiętał zielone oczy Elżbiety, a ona - jego ufność w przeznaczenie i nieprzypadkowość ludzkich spotkań. Gdy rozstawali się, w ich sercach pojawiło się dziwne przecucie czegoś niezwykłego, co zdarza się raz na setki spotkań.

Dwa miesiące później wyznali sobie miłość przez Internet.

Nie sądzili pewnie, że po pięćdziesięciu latach od powstania ta tajemnicza wirtualna sieć będzie aż wrzała od ludzkich uczuć. A wdowa po kupcu nareszcie doczekała się uznania - bo tych dwoje nigdy nie spotkałoby się, gdyby nie usilne starania Justyny

Timnik, by przejść do historii. Nawet jeśli jest to historia całkiem współczesnej miłości...

Zamiast zakończenia

Wiersze osobnego Jakuba

Pewnej niedzieli pojechałam wraz z moją „pokrewną duszą” Basią Szymańską do Jakuba Cegłowskiego, mazurskiego współczesnego poety, który trzydzieści lat temu osiadł w sercu mazurskiej wsi Nowy Zyzdrój, kilkanaście kilometrów od Mrągowa. Czekala na nas zupa szczawiowa z polnego szczawiu oraz wielki na pół stołu placek drożdżowy z kruszonką, żółty od wiejskich jajek niczym dojrzały słonecznik.

Jakub mieszka samotnie w ponadstuletnim zabytkowym drewnianym domu z widokiem na taflę jeziora i mówi o sobie, że jest taki... osobny. Jego dom ocieniają wiekowe gałęzie dębu, takiej mazurskiej sekwoi, który ma w obwodzie ponad cztery metry. I lat ponad trzysta! Znaczy to, że rósł na długo przed tym, zanim powstał dom Jakuba, i już wtedy drzewo to było na tyle wielkie i wzbudzające szacunek, że budowniczcy nie śmieli go ściąć, a ściany postawili w jego łaskawym półcieniu.

Dziś dąb jest jeszcze większy i całe szczęście, że trafił na gospodarza, który o niego dba. Z tej szczęśliwej dębowej starości kora pomarszczyła się na nim niczym pełna wspomnień twarz stuletniej kobiety, a Jakub teraz stara się, by dąb ten został uznany za pomnik przyrody. Jeśli się uda, drzewo będzie miało swoje przywileje i dwukolorową tabliczkę.

Lubię wszystkie wiersze Jakuba. Są proste i „pisane z natury”. Specjalnie dla Was zapisałam (Jakub nie ma komputera i wszystko pisze ręcznie) jeden z nich.

Kiedyś tam

Kiedyś tam, dawno, w innym świecie, Gdy żyłem jeszcze na planecie Mojej młodości
Był sad.

Drzewa sadzone dziadka ręką Każdego maja zakwitają Sącząc mi w duszę swoją piękno, Zapach wspaniały. Teraz dom mój jest nad jeziorem, Majowy las pachnie konwalia, Szarą godziną „przedwieczorem” Jabłoń zakwita mi nostalgią. Modlę się, Boże, W ziemskim życiu proch marny jestem, Jestem nikim, Kiedy powołasz mnie do siebie, Zrób mnie w swym sadzie ogrodnikiem...

W symbiozie z naturą, światem, psami i kotami spędził Jakub w drewnianej chatce już trzydzieści lat. Zasypia po zmroku i wstaje o świcie. Jego wiersze oddają cudowność tego świata, bo cuda zdarzają się wszak codziennie. Codziennie też książki Jakuba, leżące we wszystkich możliwych wolnych miejscach: na półkach, stołach i w kątach, szepczą mu barwne opowieści. Zapytany, czy przeczytał je wszystkie, śmieje się głośno: - Ależ skądże! Przeczytałem trzy razy więcej! I kiedy spotykam takiego człowieka, nieodmiennie myślę słowami Jana Twardowskiego: Jak daleko odszedłeś/od prostego kubka z jednym uchem/ od starego stołu ze zwykłą ceratą! od wzruszenia nie na niby/ od sensu/ od podziwu nad światem (...).

Jakub nigdzie nie odszedł - pozostał w tym wzruszeniu nie na niby, żyjąc więcej niż skromnie, a jednak w zgodzie z samym sobą i naturą, mówiąc, że najgorsze jest ubóstwo ducha...

W tym świecie bez telewizora i szumu cywilizacji powróciła do mnie naturalna chęć obcowania i pisania o tym, co najzwyklejsze; czego nie da się kupić za pieniądze... Dziś mogę dokonywać pewnych wyborów, a jednak im więcej mogę mieć, tym mniej mi potrzeba.